Świat Kobiecy

ROK IX 15 PAŹDZIERNIKA 1929 R. N-R 20



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 20 — ROK IX — WARSZAWA — LWÓW — 15 PAŹDZIERNIKA 1929 ROKU

JAN PARANDOWSKI: Szaleńcy Boży. — WŁODZIMIERZ LEWIK: Wierzyński — OUTSIDER: Szkoła i społeczeństwo. — JAN WIKTOR: Z notatnika (1). — A. M. LOW: Jaka będzie miłość przyszłych pokoleń? — Hr. ASQUITH: O sztuce wabienia i innych rzeczach (1). — ANDRZEJ: Wyrafinowana złośliwość (III). — MARYLA WOLSKA: Wiersze. Już. — IDA WIENIEWSKA: Przed zimą. Jabłko... — ALESSANDRO VARALDO: Dynastja strachów. — MAY SINCLAIR: Anna Severn i Fieldingowie (6). — S. MAKOWIECKI: Pogadanka o kwiatach. — Kronika. — OBSERWATOR: O kulturę ciszy. — GENTLEMAN: Cośniecoś dla panów (zimowe sporty). — CAILLER-SOBAŃSKA: Ploteczki o modzie. — Modele mód. — Roboty ręczne. — Z. KULCZYCKA: Kurs trykotarstwa szydełkowego. Okładki ochronne na książki. Malowane torebki. Napierśniki. Cache-sexe. — MARJA ANKIEWICZOWA: Udogodnienia techniczne w kuchni nowoczesnej. — Dobra gospodyni. — Towaroznawstwo. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

SZALEŃCY BOŻY

Książka pod tym tytułem* napisana przez Zofję Kossak-Szczucką, ilustrowana przez Lelę Pawlikowską, wydana z wielką starannością, będzie przyjęta z radością przez wszystkich którzy lubią ładne książki i ładne opowiadania. To co zawiera jest zawsze godne czytania: sceny z życia świętych, wysnute ze starych tekstów, odświeżone nowemi barwami. Plastyczny talent Szczuckiej stwarza dokoła każdej postaci tło bogate w szczegóły ciekawe i znamienne, mnóstwo ślicznych obrazków, w których widać epokę, ludzi, przyrodę. Ramy opowiadań są zawsze doskonałe. Książkę czytałem kilka tygodni temu, a bez natężenia pamięci widzę jak Andrzej Bobola z rozwidlenia olchy patrzy na pracę bobrów w wielkiej puszczy, widzę lwa na płowem wzgórzu, rzekę wezbraną pod murami Krosna, ulice i place miasta Myry, świetlicę króla Nothusa pachnącą winem i mięsem.

Nie są to legendy wyszukane, ale przeciwnie znane powszechnie, opisywane wiele razy, i te nowe stronice, dorzucone do tylu istniejących już tomów, nie powinny obudzić niczyjego zdziwienia, jak nie może nas dziwić nowy „Pokłon Trzech Króli", wymalowany w tysiąc dziewięćset dwadzieścia dziewięć lat po tem zdarzeniu, któremu poświęcono tyle płótna, papieru i ścian kościelnych. Wystarczy przecież, jeśli malarz usprawiedliwi swój wybór niewyzyskanym układem osób, szczególną harmonją barw lub nieprzewidzianym refleksem światła. W doświadczonej sztuce pisarskiej pani Kossak-Szczuckiej znalazłoby się wiele usprawiedliwień dla tego tematu: uczyniła wszystko, aby swym dwunastu opowiadaniom dać wyraz prawdziwego artyzmu.

Sądzę jednak, że nie obejdzie się tu bez wzruszania ramionami. Niejednego obraża atmosfera cudowności, podana w sposób tak prostoduszny, że chyba da się objaśnić własną wiarą autorki. Wynosi się wrażenie, że dla niej cud mieści się w porządku rzeczy nad którym Bóg panuje. Trudno się spierać o sprawę osobistych wierzeń, tem bardziej, że wyzbyliśmy się poczęści tej dumy, z jaką jeszcze poprzednie pokolenie mierzyło wszystkie rzeczy zasadami swej ułomnej wiedzy o świecie. Zdaje mi się że wszystko co powiedziano przeciw światu nadzmysłowemu niewiele ma wspólnego z rozsądkiem. Byłoby największą osobliwością, gdyby życie we wszystkich swych formach podpadało pod nasze zmysły i gdyby rzeczywistość kończyła się z ostatnim szczeblem naszej zdolności spostrzegania. Zresztą to co jest obojętne dla rozumu, poezja przyjmuje zawsze z najżywszą skwapliwością. Książkę Szczuckiej można nazwać w pełni poetyczną ze względu na uniesienie, z jakiem bierze swe pobożne przedmioty. Niema tu nawet uśmiechniętej poufałości, na którą pozwalają sobie najbardziej prawowierni pisarze. Warto porównać jej „Św. Hieronima" z podobnem opowiadaniem w Pawła Cazin „Bestiaire des deux Testaments", gdzie dobroduszny humor zakreśla właściwe granice legendy, granice nie strzeżone przecie żadnym dogmatem wiary.

Ale wypisując w tytule nazwę: szaleńcy boży Szczucka miała chyba na myśli coś więcej niż zbiór dwunastu legend. Szło jej zapewne o szersze i głębsze przedstawienie świętości.

Zainteresowanie świętością jest znamienne dla naszych czasów, a zarazem zupełnie różne od tego, jakie się spotykało w ubiegłem stuleciu. Wtedy bowiem zaglądano do hagjografji poto, aby w niej znaleźć, jeśli nie sposobność do drwin, to co najwyżej kilka osobliwych zwrotów, parę rysów charakterystycznych dla badanej epoki, trochę tonów i barw minionego życia, dzisiaj zaś bierze się książki mówiące o świętych, a jeszcze gorliwiej te które napisali sami święci, aby je przeniknąć, aby z nich wyczytać niepojęty sekret tych wspaniałych, nieposkromionych indywidualistów. Wejść do cel obryzganych krwią pokus, które wypierano rózgami, poznać od wschodu do zachodu upór samotności pustelników, wysondować dno ich pokory, wiedzieć skąd bierze się uśmiech męczenników, skąd łatwość podejmowania czynów groteskowych lub przynoszących hańbę, — oto rzeczy godne najgłębszych studjów. Sposób w jaki dotychczas traktowała ten przedmiot nauka albo beletrystyka nie wydaje mi się wystarczający. W nauce ograniczono się do psychopatologji, w literaturze była ironja, humor albo patos. Przed paru laty Bernanos w książce p. t. „Pod słońcem szatana" dał zarys psychologji świętego, ale ks. Donissan nie jest zupełnym świętym, zbyt wiele jeszcze w tej duszy jest rozterki i ucisku. Zresztą jest to postać zmyślona. Podobno Bernanos zajął się fikcją dlatego, że nie starczyło mu odwagi na odtworzenie prawdziwego świętego, jednego z tych, których czci Kościół i otaczają legendy. A to właśnie byłoby pracą najwdzięczniejszą: dać psychologiczny życiorys świętego, we wszystkich szczegółach, w najbardziej skrupulatnem wyzyskaniu faktów. Czy jednak jest to możliwe? Czy jakikolwiek pisarz posiada w sobie odpowiedni obszar introspekcji? Raczej zdaje się że jedynym powołanym do takiego dzieła byłby człowiek, sam w sobie mający cechy świętości.

* Zofja Kossak-Szczucka: *Szaleńcy Boży.* Z 7 barwnemi ilustracjami Leli Pawlikowskiej. 4⁰. Str. 182. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Kraków, 1929.

Szczucka utrzymała swój temat w tradycyjnych granicach literatury pięknej. Wprowadziła dwanaście postaci z katolickiego kalendarza, zatrzymanych w jakiejś jednej scenie lub jakimś znamiennym okresie ich życia. Są to albo sceny cudów albo momenty zasadniczych przełomów. Mieści się w nich szczery liryzm, wzruszająca poezja, głęboki patos tych stronic, w których Szczucka oddaje swe bogate słowo na wyrażenie tajemniczych głosów, wizyj, wyznań, zachwytów „szaleńców bożych”. Te stronice zastępują ów trud, z jakim pisarz ma budować drogę duszy swych ludzi, owo powolne rozczłonkowanie stanów duchowych, które w swym ostatnim wyniku życie obracają w popiół lub w żagiew płonącą, — zastępują je niedokładnie, raczej mnożą nasze wątpliwości, ale są to stronice bardzo piękne. Surowiej rzecz biorąc nie mają one innego znaczenia niż te złote i błękitne kamyki, które tworzą glorję dokoła świętych ze starych mozaik. Są zręcznie ułożone, mają zachwycające barwy, mogą służyć za obraz do modlitwy, same w sobie są jakby malowaną modlitwą.

Ale i to nie jest zbyt mało. Dziś, gdy ze wszystkich stron wzywają literaturę, żeby zajęła się obrabianiem kamieni naszego codziennego młyna, prawdziwą radością jest widzieć, że ktoś z takiem upodobaniem i z taką namiętnością trudzi się nad szlifowaniem klejnotów, przeznaczonych dla czystej rozkoszy naszych oczu.

JAN PARANDOWSKI

WIERZYŃSKI

Tak już jest, żeśmy się nauczyli widzieć w Wierzyńskim zapalonego fanatyka wiosny i tryskającej junactwem szerokiem młodości. Odurzeni zapałem poezji jego słonecznej, nie umieliśmy, a możeśmy nie chcieli innych dosłuchać się dźwięków.

Ostatnie dwie książki* poety postawiły nas wobec zagadki, którą rozwiązać może jeno rzut oka na całą jego twórczość. A warto twórczości tej przyjrzeć się bliżej, zwłaszcza że wydaniem „Rozmowy z puszczą” i „Pieśni fanatycznych” obchodzi właściwie Wierzyński jubileusz — dziesięciolecie swej pracy poetyckiej.



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Od roku 1919, t. j. od pojawienia się „Wiosny i wina”, dionizyjski strumień poezji Wierzyńskiego, pod koniec dziesięciolecia zmienił zupełnie kierunek.

Pierwsze dwa tomy „Wiosna i wino” oraz „Wróble na dachu” — to orgja wesela i taniec zachwytu przy wtórze prężnego, młodego krzyku o złotej musującej beztrosce żywota.

„Sprzedaj się wiatrom i gwiżdż ra-
[zem z niemi
Na to, co było i na to, co będzie”

wypisał na sztandarze swym poeta, słoneczny włóczęga i hrabia na Gerlachu, dla którego „świat ten jest pomarańczą, która... z ust aż wycieka”. Ów ton najradośniejszej beztroski, najserdeczniejszego upojenia winem wiosny, zwycięsko grzmiał poprzez wszystkie wiersze obu wymienionych tomów. Poezji tej, pałającego nieba wiosny, nie mąciły jeszcze chmurki dogłębnych zamyśleń.

Smutek towarzyszy zamyśleniom, więc smutek odezwał się w „Wielkiej Niedźwiedzicy”.

Poczyna się pełna dojrzałość, poczyna się wiek męski — wiek klęski, a wraz z nim poczynają się smutne zamyślenia, które w zetknięciu z wielką tajemnicą świata, ustom wyrywają westchnienie: „I tylko prędzej, prędzej i z jakiejkolwiek bądź strony, niech przyjdzie kres mojej nędzy, o, jak już jestem zmęczony”. „Wielka Niedźwiedzica” jest owocem wojny. Smutek towarzyszy wojnie. Smutek koi miłość, wojnę serca. Miłość zamyśla się nieskończenie, miłość trzepoce chorągwią o barwach smutno-radosnych, miłość szałem śpiewa i cichą radością się modli.

To tylko powiedzieć chciałem o „Pamiętniku miłości”.

Doraźną reakcją przeciw zataczającemu coraz to szersze kręgi smutkowi duszy, który w twórczości Wierzyńskiego poczynał zajmować stanowisko dominujące, stała się pieśń o „Laurze olimpijskim”. Mens sana in corpore sano — odezwała się dawna brawura, sławiąca w wierszach strzelistych urodę mięśni, sprężonych sportowym wyczynem. Przemówił dawny Wierzyński, z trybuny świata przypatrujący się zawodom. Chociaż i tutaj, skróś hymnów mocy, przedziera się smutek pieśni o Amundsenie, czy Nurmim.

Niedawno, pisząc o Wierzyńskim, nazwałem „Rozmowę z puszczą” innem spojrzeniem. Bo rzeczywiście inaczej spojrzał tu poeta na świat, inaczej niż w „Wiośnie”, czy „Wróblach na dachu”. Smętek, raz po raz przychodzący do głosu w wierszach poprzednich, każe teraz poecie rzec w „Rozmowie ze światem”:

„Głośno śpiewałem twoje fanfary młodzieńcze, Twą odę do młodości szaloną i ciemną, Wiosny i wina nikt tak nie sławił przede mną I dziś urodę twoją podziwiam i wieńczę.

Jedno tylko: z pragnienia mam usta już czarne I niczem dotąd serca nasycić nie mogę, A ty mnie w nieprzebytą porywasz znów drogę, Rzucasz w obszar, którego wiem że nie ogarnę”.

Poezja Wierzyńskiego w zetknięciu z „człowieczemi sprawami”, które chce w sobie zamknąć, naturalną zupełnie drogą musiała wyzbyć się młodzieńczego uśmiechu.

Ów punkt przełomowy najwyraźniej zaznaczył się właśnie w „Rozmowie z puszczą”. Obok wierszy przypominających oblicze poety z przed lat dziesięciu, obok szeregu perełek liryki opisowej, w której zawsze był mistrzem, znalazły się wiersze świadczące o nowem spojrzeniu.

I nic dziwnego, że tu właśnie odbiły się dobitniej echa skamandrowej poezji. Tę postawę wobec świata, która dziś stała się udziałem Wierzyńskiego — tamci poeci przyjęli już w zaraniu swej twórczości. O swoich „wzorach” wspominał już poeta dawniej, w „Odwiedzinach”:

„A teraz siądźmy przy kieliszkach razem:
(Ja) Siewierjanin, Whitman, Staff i Tuwim”.

Słowa te w większej mierze odnosić się będą do „Pieśni fanatycznych”. Tom ten uważam bowiem za odskocznię, za cofnięcie się poety, dla nabrania większego pędu ku nowym zdobyczom.

---

* Kazimierz Wierzyński: *„Rozmowa z puszczą”* i *„Pieśni fanatyczne”*.

Jeśli dwa pierwsze tomy były też fanatycznemi pieśniami o słońcu i pogodzie ducha, tom ostatni jest krzykiem fanatycznym nad bagnem ludzkiej nędzy. Wglądnięcie w najprostsze sprawy ludzkie kazało wierszom krzyczeć czarno, roztoczyło przed przerażonym wzrokiem potworny film, którego każdy obraz straszny jest w jaskrawości i dosadności swojej.

O przedmiotach zainteresowań poety poinformują jak najdokładniej same już tytuły: Pieśń o suterenie, o zgubie, o szarości życia, o nocach przespanych, pieśń ze środka miasta i pieśń szubienic. Tragiczne wpatrzenia w nędzę fizyczną i moralną miasta każe uciekać i będzie przez to krwawym, choć może niewiadomym manifestem antyurbanizmu.

Nasunie się teraz pytanie, czy i o ile wyniki osiągnięte przez poetę w pieśniach fanatycznych noszą na sobie piętno oryginalności. Odpowiem krótko — nie.

Ten sposób patrzenia na sprawy ludzkie, ten sposób ich uzewnętrzniania właściwy francuskiej szkole poetyckiej Baudelairea i Rimbauda, najwybitniejszego przedstawiciela w poezji polskiej znalazł w Tuwimie.

Dlatego „Pieśni fanatyczne" tak wyraźnie ową manierę zdradzają i dlatego nazwałem je odskocznią Wierzyńskiego w nowe niewątpliwie horyzonty.

Gdybyśmy zatem twórczość poetycką Wierzyńskiego przedstawić chcieli w najogólniejszym, syntetycznym skrócie, co w ciągu mojego artykułu starałem się bliżej uzasadnić — otrzymalibyśmy wynik mniej więcej taki: „Wiosna i wino" z „Wróblami na dachu" stanowią zamkniętą całość radosną. Wiersze od „Wielkiej niedźwiedzicy" poprzez „Pamiętnik miłości" do „Rozmowy z puszczą" streszczą w sobie zmagania dwu poglądów na świat, radosnego i bolesnego, przyczem „Laur olimpijski" będzie wyskokiem przed chwilą przełomu, który obliczem bolesnem przerazi w „Pieśniach fanatycznych".

WŁODZIMIERZ LEWIK

SZKOŁA I SPOŁECZEŃSTWO

Istnieje rozległa dziedzina bardzo doniosłych zjawisk zarówno dla jednostek jak i całego społeczeństwa, o których jednak mówi się bardzo mało, albo prawie i nic. Tym światem, zamkniętym z własnej a nieprzymuszonej woli przed ogólną ciekawością i zainteresowaniem, jest u nas szkoła, ze wszystkiemi swojemi wadami i zaletami. Zagadnieniami szkoły, poza powołaną do tego władzą lub gronem fachowców, nie interesuje się prawie nikt: ani społeczeństwo, ani prasa. Wytwarza się skutkiem tego takie dziwne zjawisko, że szkoła i społeczeństwo tworzą dwa odrębne, zamknięte przed sobą organizmy, w bardzo nielicznych wypadkach ze sobą się porozumiewające. Takiego stanu nie można pod żadnym warunkiem uważać za naturalny, koniecznością bowiem obopólną jest ścisły kontakt pomiędzy temi dwoma czynnikami, zwłaszcza że jeden na drugi świadomie lub podświadomie wielki wpływ wywiera. Jak dotychczas, szerokie koła rodzicielskie zwykły interesować się szkołą w okresie klasyfikacyjnym i kupowania książek szkolnych. Wówczas naturalnie maluje się dosadnemi słowy to i owo, narzeka się na zbyt częste zmiany podręczników szkolnych, a zwłaszcza na związane z tem wydatki, ale po niejakim czasie wygładza się powierzchnia tarcia wszelakiego i następuje tradycją uświęcony spokój. W okresie świadectw i klasyfikacji zwykło się surowej ocenie poddawać przypadkowo dostrzeżone niedomagania, czyto w programach szkolnych, czyto zbyt rozlegle pojmowany zakres obowiązków szkolnych, niewłaściwe obyczaje, metody uczenia lub klasyfikowania.

Te dwa okresy siłą faktów przypominają społeczeństwu szkołę z jej wszystkiemi wadami i zaletami, nasuwając uzasadnione domniemanie, że sfera zjawisk szkolnych nie powinna być tak pobieżnie i tak wyjątkowo, przez silnie z nią związane czynniki, omawiana i oceniana. Trzeba i to jak najczęściej krytyczną i rozumiejącą myślą wdzierać się w życie szkoły i przez długi szereg lat związanej z nią młodzieży towarzyszyć w jej troskach, nadziejach, zamiarach, upadkach i wzlotach. Szkoła bowiem w znacznej mierze urabia charakter młodzieży, pewne dyspozycje w niej rozwija, inne zabija, a przecież nie może to być obojętnem ani społecznie małoważnem, jaki typ intelektualny mury szkolne opuszcza i co wnosi w życie. Czy to są ludzie przygotowani do twardego, opornego życia, czy to są charaktery zdolne oprzeć się burzom życiowym, czy też natury miękkie, słabe, kapryśne, o wybujałych pretensjach, tworzące najodpowiedniejszy materjał na bankrutów i wykolejeńców życiowych? To chyba nie może być obojętnem dla społeczeństwa!

Taki sprzeczny z interesami społeczeństwa i szkoły stan rzeczy kryje w sobie ponadto zarody różnorodnych niebezpieczeństw i doniosłych następstw. Ogół społeczeństwa, nie znając bliżej właściwie szkoły, jej programów, obyczajów, stron dodatnich i ujemnych, zwykł odnosić się do niej bądź z nadmiernem zaufaniem, bądź z nie dającą się zawsze uzasadnić niechęcią. Nie wiem, który z tych punktów widzenia szkodliwszy w praktyce. Nadmierne i niezawsze na faktach oparte zaufanie prowadzi do bardzo niemiłych i niepożądanych rozczarowań, brak zaufania podcina w wielu wypadkach rolę szkoły, utrudnia jej pracę, nie mówiąc już o krzywdzie moralnej wynikającej z niesprawiedliwej nagany. Jedno i drugie prowadzi do tego, że albo szkole przekazuje się nadmierną ilość najrozmaitszych funkcyj i zadań, którym ona absolutnie podołać nie może, albo z drugiej strony pozbawia się ją znowu tych pól działania, na których mogłaby niejednego dokazać. Na tem tle niezbyt jasno rozgraniczonych kompetencyj powstają liczne nieporozumienia i tarcia pomiędzy rodzicami a szkołą, które zazwyczaj ze względów czysto oportunistycznych nie wychodzą poza mury szkolne, przyczyniając się tem w niejednym wypadku do ustalenia nieprawidłowości. Konsekwencje tego stanu rzeczy spadają rzecz jasna na młodzież w pierwszym, a na rodziców w drugim rzędzie. Ostatecznym wynikiem wikłających się nieustannie pojęć o funkcjach szkoły będzie rosnąca i pogłębiająca się z roku na rok rozbieżność w dążeniach wychowawczych domu i szkoły i co najgorsze brak zaufania u młodzieży zarówno dla wskazań rodzicielskich jak i szkolnych.

Młodzież dorastająca bardzo często staje wobec tego niepokojącego zagadnienia, zwłaszcza ta jej część najbardziej myśląca i najżywiej czująca. I niejedna natura bardziej wrażliwa lub czulsza załamie się pod wpływem trudnych do uzgodnienia rozbieżności, a straciwszy oparcie o niewzruszony autorytet, na jakim musi się opierać wychowawcze oddziaływanie, czyto domu czy szkoły, zdana na zbyt słabe i niezahartowane jeszcze siły własne, gubi radość życia, popada w coraz to poważniejszą rozterkę duchową, kończącą się nieraz przedwczesnem zniechęceniem lub sceptycyzmem. Wynik chyba niezamierzony i bardzo niepożądany! Życie powinno czerpać ze szkół materjał zdrowy, silny, odporny, zdolny do wszelakich prac, czyto praktycznych, czyto teoretycznych, a nadewszystko wyposażony

w jak największą ilość zdrowego i naturalnego optymizmu życiowego, objawiającego się nieprzymuszoną i szczerą radością młodości i życia. Mogą i muszą tkwić w niej rozmaite naloty i narowy, nawet i błędy, ale to wszystko musi być naturalnem następstwem młodości, nadmiaru niedocenianych jeszcze sił, sprawnie i celowo sprowadzanych na właściwe tory przez światłych wychowawców. Pod tym względem nasze szkolnictwo posiada zakorzenione jeszcze z czasów dawniejszych tradycje, polegające na tłumieniu naturalnej, młodości wrodzonej radości, choćby ona przejawiała się w sposób jak najbardziej naturalny i normalny. Lubimy przedwczesną powagę, smutek, patos i chętnie poczytujemy te wyświechtane akcesorja psychiczne za coś lepszego od beztroskiej, pustej lub swawolnej nieraz wesołości wrodzonej zdrowej i normalnie rozwijającej się młodzieży. Tem różnimy się bardzo poważnie od narodów zachodnich o starych, wytrawnych kulturach i co dziwniejsze tę oczywistą wadę poczytywać jesteśmy sobie skłonni za objaw wyższości!

Ideałem wychowawczym będzie zawsze jak najbardziej harmonijny rozwój wszystkich intelektualnych i fizycznych władz ludzkich. Zadanie zaś wychowawców będzie polegało na celowem normowaniu wszystkich procesów rozwojowych młodzieży i dostosowywaniu ich do sił indywidualnych. Praca w tych kierunkach dzieli się zazwyczaj w naszych stosunkach pomiędzy dom rodzicielski i szkołę. Dlatego niezbędna jest jak najzupełniejsza pomiędzy domem i szkołą harmonja, polegająca na celowem rozgraniczeniu funkcyj jak również usiłowań i dążeń. Z tych powodów społeczeństwo musi się wreszcie zaciekawić wszelkiemi przejawami życia szkoły i to nietylko sporadycznie w dwu wyszczególnionych okresach krytycznych, ale wszystkiemi podstawowemi problemami szkoły. Winno się zatem publicznej poddawać dyskusji programy szkolne, najważniejsze zagadnienia dydaktyczne i wychowawcze; z drugiej strony wszystkie przydzielone szkole prace, zwycięstwem lub klęską zakończone, powinny przedostawać się do publicznej wiadomości i oceny. Niezależnie od tego szkoła powinna przejąć na siebie jakąś część trosk społecznych, biorąc jednocześnie ciężki i niebardzo wdzięczny obowiązek zaznajamiania młodzieży z najważniejszemi problemami życia społecznego. Społeczeństwo musi zacząć czynnie rozumieć troski szkoły, a szkoła wziąć udział w niefałszowanem życiu społeczeństwa. Na wzajemności oparte zrozumienie i porozumienie wyda plony stokrotne.

Wówczas znikną resztki nawyków ludzi niewolnych, znikną ponure i patetyczne romantyczne cienie i legendy, a niesfałszowane życie współczesne wróci młodzieży tę radość i pogodę, która gdzieś chwilowo zaginęła, przytłoczona nadmiarem programów, obowiązków i może nienajpotrzebniejszych usiłowań. Do tego wiedzie droga przez poznanie szkoły w jej najistotniejszych zagadnieniach i przejawach.

OUTSIDER

Z NOTATNIKA

I

Na bruku paryskim, czy od włóczęgów znających całą Francję, czy od robotników w biurach pośrednictwa, słyszałem wiele opowiadań o bardzo ciężkich warunkach pracy w kopalniach rudu departamentów Calvados i l'Orne. Jedno słowo kształtowało się: piekło. Tam postanowiłem jechać, aby poznać stosunki, zetknąć się z górnikami, wejść w ich życie. Sposobność nadarzyła się, gdyż w owym czasie poświęcano sztandar w Dives s mer. Ruch przedświąteczny. Pociągi nadzwyczajne, ale we wszystkich wagonach pełno. Paryż robotniczy wyjeżdżał na dwa dni na wieś, w cienie drzew, nad morze. Młody zdolny poeta Witold Zechenter — serdeczny towarzysz przeżyć paryskich — z trudem wcisnął mnie w tłok, w przysłowiową beczkę śledzi, krzycząc z wściekłością że spóźnił się na randkę.

„Non fumieurs" — dlatego też w ciasnym przedziale ciemno od dymu jak w kuźni Belzebuba. Trzeba było połykać okopciałe kawałki zaduchu. Cudem przecisnąłem się do okna. Czerwone dachy porozrzucane na zielonej szachownicy, kępy krzewów na omglonej równinie, na rzekach błyszczących, pławiące się w roztopionem słońcu, czarne padalce galar, przepasanych kolorowemi pierścieniami. Pejzaż jakby na Podhalu, tylko bez lasów. Małe wzgórza, parowy łagodne, znów pola poznaczone kępkami drzew, przekreślone szeregami wierzb. Domy ugrząznięte w białej pianie sadów.

— O wa — nie będzie mi Francja imponowała — w tym czasie w Polsce też kwitną drzewa.

W Normandji powitał nas — gdzieś w polu samotny krzyż przydrożny, surowy, prosty jak pokutna modlitwa człowieka, idącego przez pola w słońce. Dachy czarne, brak podparyskich, roześmianych czerwienią domów. Sady kwitnące na przestrzeni mil. Pociąg płynie po tym morzu wonnem, białem, różowem, przez samą wiosnę w barwach, w kwiatach, w szumie i w zieleni. Gdzieś zabłąkana strzecha, ale nie te polskie czapy, z fantazją cholerną, na łeb narzucone, ale równe, wymuskane, gładkie, jednem słowem: dobrze wychowane.

Wagony opróżniły się w sławnem Liesiens.

Caen... Uliczki pełne wieczornego uroku... Budowle wieczysty obrządek piękna odprawiające. — Wieże, zakątki urocze —

Na drugi dzień autobusem departamentalnym do Dives s/mer. Gościniec równy, gładki wykreśla pasmo przez równinę, przez pola, skręca, wpada i pokazuje coraz inne wycinanki pejzażu. Sady — sady — biel i zieleń kipi przez mury i rozlewa się po pastwiskach, po łąkach. Czasem rozchylają się drzewa, okazują się zaciszne, zapomniane domy. Sciany oblepione wyobrażeniami przeróżnych stworzeń, na drzewach ptaki, wiewiórki zamarłe w skoku, na trawie psy, koty, lisy, w środku podwórza osioł dźwigający kosze pełne słońca. Znikają, znów nowe zjawiają się to majolikowe wyroby miejscowych majstrów.

W Dives — — w kolonji polskiej — zgiełk, gorączkowy ruch, przygotowania przed barakiem drewnianym, z desek, z dziur, z tymczasowości — gdzie mieści się szkółka. Delegacje okoliczne ze sztandarami. Załączyły się rowery ubrane skrawkami bibuły — jakby toczyły się w czerwonawym i białym ogniu, zabarwiły się niby krakowskie stroje dziewczyn. Stroje niby krakowskie — jakaś emigrancka mieszanina wstążek, spódnic, wyszywań, korali, trochę z teatru, trochę z rycin, ze wspomnień, a tak wiele z miłości i z tęsknoty. Ale to nic, byleby tylko tym pierońskim francuzom pokazać jaka to polska barwność, co to dziarskość, zamaszystość. A francuziki czarne, jakby przez całe życie ubrane do trumny (byleby oszczędnie, byleby nie marnować czasu na ubieranie po śmierci), dębieją, wywalają gały na te sukmany z barchanu, na te stroje, na ten polski teatr na francuskiej scenie.

Pochód z ludzi spędzonych potrzebą, nędzą z rozmaitych stron polskich. Zagony uszeregowane jakby cztery skiby obok siebie. Na przodzie dzieci w krakuskach aż po uszy, aż po brodę, każde z nich dzierży chorągiewkę jakby trzepocącego ptaka, który zerwać się nie może, tylko na obcej ziemi, we wrogich oczach furgoce po polsku bielą i czerwienią. (C. d. n.)

JAN WIKTOR

JAKĄ BĘDZIE MIŁOŚĆ PRZYSZŁYCH POKOLEŃ?

W czasach zamierzchłej przeszłości mężczyzna zdobywał kobietę z bronią w ręku. Teraz, za naszych czasów, kobietę wywalcza sobie ten, który potrafi dostarczyć jej najwięcej rozrywek i urozmaicenia w duchu współczesnych wymagań.

Zaczynam od tego porównania czasów dzisiejszych z przeszłością, gdyż wykazuje ono w sposób prosty i ludzki całą tę ogromną różnicę między miłością wczorajszą a dzisiejszą. I w związku z tem stawiam pytanie: Jaką będzie miłość jutrzejsza?

Nawet w krótkim okresie czasu dwudziestu pięciu lat, dzielącym np. dzisiejszą Anglję od epoki królowej Wiktorji, — zmieniła się zupełnie tendencja miłości — że się tak wyrażę, — przeradzając się ze sprawy osobistej, prywatnej czy familijnej, w niezmiernie doniosłe zagadnienie narodowe, a nawet i międzynarodowe, społeczne. Ale od samego początku nie zapominajmy o tem jednem, że w kwestji tej podstawą wszelkich wywodów musi być uświadomienie sobie (a sądzę, że wszyscy są tegoż samego zdania), że miłość zawsze jeszcze jest w zakresie życia społecznego jednym z najżywotniejszych i najważniejszych czynników, wywołującym gruntowne rozważania i dyskusje.

W przeszłości miłość rozpętywała wojny, bywała powodem zguby lub zwycięstwa. Ona to rozbijała w proch królestwa, niszczyła dynastje. Ona też ratowała państwa przed upadkiem. Ona to upokarzała wielkich wybitnych ludzi, a pokornych wywyższała.

Miłość obdarzyła ludzkość pięknością, genjuszem, ogólnym postępem, zsyłając na nią równocześnie wszelkie przykrości, ohydy i zwyrodnienia. Jej to natchnieniu mamy do zawdzięczenia nieśmiertelne poematy, malowidła, utwory muzyczne, odkrycia i wynalazki zdziałane w interesie postępu i cywilizacji.

Jakże łatwo może miłość życie człowieka złamać lub zmienić je w jedno radosne święto! Jest ona do dziś dnia i pod każdym względem uczuciem wszechpotężnem, zarówno w dobrem jak i w złem.

A jakiemiż drogami chodzi dzisiejsza miłość, za naszych czasów?

Weźmy za przykład przeciętny parę dzisiejszych młodych ludzi z wyższych klas londyńskiego towarzystwa: Młody człowiek, zdrowy, normalny, — i młodę dziewczę, którzy zaręczyli się, by później zawrzeć ślub. Spędzimy jeden wieczór w ich towarzystwie.

Prawdopodobnie — o ile im środki na to pozwalają, — zaczną od spożycia cocktailu, a więc sztucznego środka podniecającego, mającego im dopomóc do wywołania wesołego nastroju, jakże odległego od owego nastroju sentymentalnego, właściwego zakochanym za dawnych czasów!

Pójdą razem na kolację. W restauracji panuje atmosfera wesołej beztroski, słychać swobodne rozmowy, — lokal sympatyczny, jasno oświetlony, — może właśnie gra nawet i jazzband.

Może się trochę potańczy, może pójdzie się do kina. A potem nasza para wraca do domu, nie zamieniwszy nawet jednego pocałunku. I kiedy oboje usiądą na kanapce, może zwolna, stopniowo, jak to bywa u dzisiejszych zakochanych, przyjaźń ustąpi miejsca miłości.

Przeżyli wspólnie miłe chwile. Lubią się oboje. Interesują się sobą wzajemnie. Żyją naprawdę po koleżeńsku.

Czyliż ma to oznaczać coś szczególnego? Mojem zdaniem, nie. Namiętność zmysłowa nie była nigdy fundamentem prawdziwej, szczerej a trwałej miłości. Jest to fakt, który ludzie sobie stopniowo coraz jaśniej uświadamiali.

Przesadna namiętność wydaje się nam dziś podejrzaną. Jedni uważają to za coś złego, inni za rozpętanie niskich instynktów. Oczywiście prawda tkwi w tem, że dzisiejsza generacja ma bardziej wzniosłe i szersze pojęcia o pięknie miłości.

Naturalnie, że i zmysły biorą w tem udział. „Jakiż ty masz piękny głos", woła zakochany. — To zmysł słuchu. — „Jakież delikatne są twe policzki!" — To zmysł dotyku. — „Jakie masz jasne oczy!" —To zmysł wzroku. — „Jak ślicznie pachną twe włosy!" — To zmysł powonienia. Ale wchodzą tu w rachubę inne jeszcze, znacznie subtelniejsze zmysły, mające o wiele większe znaczenie, a doprowadzające nas do owego procesu doboru płciowego, co właśnie nazywamy miłością. Zmysły te istnieją równie dobrze, jak istniało oddechanie, zanim istnienie tegoż odkryliśmy. Że narazie nie mają one nazwy, że nie wpisane są do listy, ani nie obliczone według tabelki, — to z tego jeszcze nie wynika wcale, jakoby ich nie było. Będą się one objawiać stopniowo, w miarę tego jak miłość się wysubtelnia i staje coraz estetyczniejszą.

W przyszłości ludzie kochający się nie zechcą już znosić tego przykrego udawania i niepotrzebnej udręki, związanych dziś jeszcze tak często z miłością i jej następstwami. Agitacja za reformą ustawodawstwa rozwodowego już obecnie wskazuje na to, że ludzie spoglądają z pogardą na małżeństwa, nie z miłości zawarte. A przyszłe generacje gardzić będą tylko tymi, którzy, dajmy na to, żyją ze sobą przez lat dwadzieścia, a w ciągu tego okresu czasu przez lat dziewiętnaście wzajemnie się niemal nienawidzili. Wówczas — gdy takie czasy nadejdą, — będzie się to wydawało rzeczą równie niemoralną, jak dzisiaj wiarołomstwo małżonków.

Zmiana otoczenia pociągnie też za sobą odpowiednią zmianę w miłości, zarówno sankcjonowanej jak i wolnej. Strona fizyczna miłości będzie coraz bardziej tracić na znaczeniu. W pierwszej linji bowiem musimy sobie uświadomić fakt, że nasze dzieci będą znacznie od nas mądrzejsze. Wychowanie dzieci traktowane będzie z wyższego punktu widzenia.

Znajdzie się niejedno, co będzie przeciwdziałać wszystkiemu, co jest ordynarne i niedojrzałe w miłości. Wówczas też pozostaną w uśpieniu te uczucia człowieka, które dziś jeszcze łatwo można podrażnić, a które nie są właściwie rozwinięte. Pożywienie dzieci naszych będzie delikatniejsze niż nasze. Nie będą ich, jak sądzę, napoje wodziły na pokuszenie. Rozszerzy się sfera ich interesów, — nie będą oni już pić ani tańczyć w owym napół histerycznym stanie, szukając sensacji.

Proces doboru płciowego dostosuje się w zupełności do ducha postępu czasu. Mężczyzna szukać będzie zupełnie nowego kryterjum piękności kobiecej, — kobieta stworzy sobie zupełnie nowy ideał mężczyzny. Igraszki obu płci stracą dużo ze swego przyziemnego charakteru.

Trzeba pamiętać o tem, że miłość odarto z uroku tajemniczości i mistycyzmu. Że ją ściągnięto z tego piedestału, — do tego przyczyniła się na pewno współczesna młoda dziewczyna, swym ubiorem, swemi nawyczkami, swem dążeniem do równouprawnienia. A dzisiejszy młody człowiek nie „blufuje" już ani siebie, ani swej ukochanej.

Dzieci nasze będą korzystać ze zdrowego i rozsądnego ustawodawstwa małżeńskiego. Nie będzie żadnego usprawiedliwienia dla małżeństw nieszczęśliwych.

Naturalnie kontrola urodzin odgrywać będzie coraz donioślejszą rolę. Ale mojem zdaniem miłość, jeżeli nie

dziś jeszcze, to później dojdzie do takiego stopnia duchowego udoskonalenia, iż będzie można ową kontrolę urodzin ograniczyć do minimum. I po tem wszystkiem nie będzie to oznaczało żadnej rewolucji, lecz poprostu powrót do zupełnie naturalnej tendencji życiowej.

Ale po tych wszystkich moich wywodach nie należy w żadnym razie dochodzić do przypuszczenia, jakoby nasze dzieci odrazu miały się stać „sztucznymi ludźmi", — jakoby romantyzm miał zupełnie zamrzeć. Wręcz przeciwnie: miłość stanie się lepszą, piękniejszą, bardziej ożywczą i ofiarną.

Przezwyciężenie surowego, nieokiełzanego trybu życia i jego popędów podziała oczyszczająco na miłość. I skoro dzieci nasze dorosną, rozkoszować się będą miłością wyższą, uszlachetnioną.

Prof. A. M. LOW

O SZTUCE WABIENIA I INNYCH RZECZACH

[1]

Niewątpliwie istnieją liczne szkice i rozprawy na temat mody, napisane przez mężczyzn, którzy stali się sławnymi dzięki swej uczoności i dowcipowi. Gdyby mi były znane te prace, — artykuł niniejszy byłby z pewnością bardziej interesujący, — bo ostatecznie na maleńki plagjat można sobie zawsze pozwolić. Niestety jednak wychowanie moje jest nieco zaniedbane i z wyjątkiem kwestji etykiety nie czytałam nigdy ani słówka o ubiorach, obyczajach lub strojach wyższych sfer towarzyskich.

Z wyjątkiem istoty ludzkiej niema nic bardziej tajemniczego jak moda, — a wszystkie pytania, nasuwające się nam na jej temat, stoją ze sobą w ścisłym związku. Iluż to było niemiarodajnych projektodawców mody, którym zabrał należną sławę jakiś szczęśliwszy naśladowca? Któż to jest owym potężnym a ukrytym władcą, na którego rozkaz zmieniamy nietylko nasze suknie, lecz i twarze i postać a nawet i nasze obyczaje? I w jakichże to tajemniczych zakamarkach rodzi się moda?

Już za czasów rajskich mężczyzna i kobieta — albo powiedzmy może raczej: kobieta i mężczyzna — zrozumieli znaczenie pokusy i ćwiczyli się w sztuce wabienia. Bo przecież pokusa nie jest zakazaną, — a wabienia nie uważało się nigdy za coś grzesznego.

Nie mogę sobie jakoś przypomnieć, aby któryś ze słynnych wróżbitów powiedział nam kiedy coś naprawdę interesującego o świecie przyszłości. Nie objawili nam niczego nowego, — poza tem co sami własnemi zmysłami uchwycić i pojąć zdołamy. Wszystkim tym ludziom, którym się zdaje, że zpomocą pukających stolików mogą sprowadzić na ziemię duchy zmarłych, — chciałabym między innemi zadać i to jedno pytanie: czy i w przyszłości istnieć będzie nadal pokusa — no i oczywiście sztuka wabienia. Bo gdyby tak nie miało być, — wówczas ta przyszłość do której wzdychamy straciłaby bardzo dużo na uroku i żywotności. Miłość jest nieśmiertelna, — a póki ona istnieje, będziemy jej służyć i iść za nią.

Gdybym o tych sprawach miała fachowe znajomości, — mogłabym przytoczyć cały szereg przykładów na to, jak to w świecie ptaków i zwierząt samiec wabi samiczkę — i vice versa. Ale jestem raczej sportsmenem jak przyrodnikiem. Gdybym była mężczyzną, powiedziałabym, że — poza polowaniem na lisy — niema nic lepszego na świecie jak łowienie na wędkę łososia. Piękno płynącej cicho wody, przymusowe nieustanne naprężenie uwagi, ta mieszanina cierpliwości i pogody ducha, niezbędnych warunków powodzenia, — wszystko to razem dawałoby mi zadowolenie, spokój i pewne podniecenie.

Łowienie łososia na wędkę można określić niemal temi samemi słowy, jakiemi E. U. Lucas scharakteryzował kriket:

„Kriket — to zawikłana, spokojna gra wojenna, wymagająca nieustannej czujności".

Istnieją rozmaite formy łowienia, nie mające nic wspólnego z rybami. Więc spiskowiec manewrujący rękami, a łowiący każde spojrzenie; — więc polityk łowiący głosy, — założyciel przedsiębiorstwa pragnący złowić zaufanie, — prasa łowiąca ogłoszenia, — a wreszcie samiec łowiący samiczkę.

W tem wszystkiem nie mam zupełnie zamiaru zastanawiać się nad pobudkami, — lecz jedynie nad techniką czy metodą, zapomocą której ludzkość dochodzi do wytkniętego celu. Ludzi musi się łapać na pozory, — musi się im ukazywać coś, co zwraca ich uwagę i wpada w oczy. I trzeba się odrazu zdecydować czy rybka złapie się snadniej na jaskrawą przynętę Durhan Ranger, czy też na zwyczajną brunatną Black Dog.

W dawniejszych romansach sportowych — z czasów gdy kobiety nosiły jeszcze trójgraniaste kapelusze i długie amazonki z rozwianemi połami, — można wyczytać niekiedy, że myśliwi krzyczeli głośno, skoro spostrzegli, że psy wywąchały trop zwierzyny.

Ale choć mam już długoletnie doświadczenie w polowaniu na lisy, — nie mogę sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek choćby najzagorzalszy sporstmen popełnił podobną nieostrożność. Skoro się wpadnie na trop, wszyscy zachowują zupełne milczenie, gdyż każdy szmer, a tem bardziej każdy okrzyk musiałby obudzić odrazu podejrzenie w ściganem zwierzęciu. Gdybym ja naprzykład była łososiem i ujrzała zwisającą nad mą głową przynętę, — wystarczyłby na pewno jeden nieostrożny okrzyk, abym natychmiast zostawiła podejrzanego robaczka i uciekła daleko, na drugi brzeg rzeki. W rzeczywistości jednak tak się dzieje, że błyszcząca przynęta nie nasuwa rybie żadnych podejrzeń, — i większość ludzi da się w ten sposób zaskoczyć, — połyka robaczka — i na tem kończy się rola przynęty.

Jest to faktem stwierdzonym, że na każdem polu: czyto chcemy coś sprzedać, czy coś osiągnąć, — musi się wywołać odpowiednie wrażenie czemś, co działa pobudzająco na nerwy, zamąca wzrok i odbiera trzeźwość sądu.

Pamiętam, gdy byłam młodą dziewczyną proponowano mi nagrodę za wymyślenie rysunku, reklamującego mydło. Wówczas przyszło mi na myśl, że fabryka mogłaby ładnie zarobić, gdyby się wyrysowało plakaty, na których lady Macbeth obmywa ręce mydłem z tej właśnie firmy, — jedynym niezawodnym środkiem dla zmycia krwawych plam, świadczących o jej współudziale w zbrodni. Ale firma odrzuciła mój rysunek, uważając mnie poprostu za warjatkę.

Dobry rezultat w sztuce reklamowania się jest akurat tak samo trudny do osiągnięcia jak i w sztuczkach i wabikach miłosnych; jedno i drugie stoi w ścisłym związku z idjosynkrazją ludzkiej natury.

To mnie naprowadza na myśl, że wszystkie te zmiany i wybryki mody kobiecej mają na celu nietylko ożywienie monotonji codziennego życia, — lecz i zwrócenie uwagi mężczyzny na kobietę.

Mówią, że kobiety stroją się tylko dla kobiet. Nie przypuszczam jednak, żeby w towarzystwie złożonem wyłącznie z kobiet która z nich poświęcić chciała zanadto dużo czasu na swą toaletę.

(C. d. n.)

Hr. ASQUITH

WYRAFINOWANA ZŁOŚLIWOŚĆ

III

ANDRZEJ DO MARTY

Rzecz jasna, że od Pani nie można było spodziewać się innej odpowiedzi.

Cały list — to nieustająca, ani jednem życzliwem słowem nieprzerwana, złośliwość. Skąd bierze się jej tyle w Pani? Pierwszy raz przyszło coś podobnego pod moim adresem.

Kobiety są najbardziej nieobliczalnemi tworami Bożemi. Proszę tylko nie pomieszać pojęć: nieobliczalny nie równa się czemuś nieodgadnionemu, tajemniczemu. Mężczyźni już dawno bajeczkę o sfinksowatości kobiet odłożyli do lamusa.

Pani narazie niczego tak bardzo nie pragnęła, jak listu mówiącego o miłości.

I oto, życzeniem Jej upoważnione, przychodzą takie słowa, w których szczerość nie wątpi Pani ani przez chwilę, ale, zamiast je uszanować, odpowiada Pani na nie z uprzejmą ironją. Z tłumionym, drwiącym uśmieszkiem, niepozbawionym jednak pewnej satysfakcji.

Wiją się zdania foremne, żartobliwe, pouczające; rozbawiają, gryzą, rozbrajają. Niczego ująć, niczego dodać nie trzeba, gdyżby się misterna budowa popsuła. Miło czytać. Tylko nie temu, do kogo adresowane, bo ten właśnie zgrzytał zębami.

Wie Pani — przez chwilę żałowałem moich szczerych słów. Czy nie lepiej było ukryć rodzaj uczucia i ograniczyć się do ogólnie przyjętego systemu zdobywania względów dam. To taka prosta i gładka droga.

Ale ja uroiłem sobie, że z Panią możnaby przeżyć inne momenty, może nawet niezapomniane, do których myśl wracałaby kiedyś później z nabożnym zachwytem, z wdzięcznością.

Tymczasem Pani, zdaje się, lubi szermierkę słów i żongluje niemi z zawrotną swobodą, ukrywając właściwe oblicze poza zasłoną utkaną z uśmiechów, drwin, przekomarzań i zdawkowej uprzejmości, która czasem może człowieka wyprowadzić z równowagi. Ale Pani i to ostatnie, zdaje się, lubi.

Pani wogóle jest tak miła, uprzejma, i tak wiele rzeczy lubi, że na jakieś uczucie gorętsze, mocniejsze, żywsze nie zdobędzie się chyba nigdy. Chociażby przez wzgląd na pozostałych, biedaków. Zresztą, poco psuć wytworną linję jednakowo uprzejmej dla wszystkich damy, przed którą płoną kadzidła uwielbień i pragnień wiernych wyznawców. Która potrafi ustawić każdego na wyznaczonem przez siebie miejscu, coprawda indywidualnie dobranem, a wszystkich utrzymać w zgodnem posłuszeństwie.

Żadnych wyróżnień! Ale też i żadnych zazdrości, zawiści, skrzywień, niechęci. Blaszane żołnierzyki karnie w szeregu oczekujące przesunięć. Jakaś z ich strony inicjatywa własna, jakiś bunt — stłumione w powstawaniu słodkiem spojrzeniem, niby to poufniejszą rozmową, i innemi rozkosznemi sposobikami, które każdego, w jego własnych oczach, wywyższają. Jakże można zresztą wyłamywać się z szeregu ustawionego tak mądrą dłonią, i mącić pogodną zabawę tak miłej i uprzejmej Pani, która nawet nie rozgniewa się o to, nie wybuchnie, nie skarci, ale dla której taki buntownik, nie dający się opanować, przemienia się nagle w przejrzyste powietrze. Poprostu przestaje istnieć, jako kształt materjalny. Dematerjalizuje się momentalnie bez potrzeby urządzania seansów, bez współudziału medjów, bez stolików wirujących. Wystarcza wola Pani zakazująca swym oczom widzieć, swym uszom słyszeć takiego przestępcę. Wyrzucony z raju bez płomiennego miecza.

I właśnie to jest dla mnie takie przykre, tak szarpiące nerwy, że ani w szeregu stać nie chcę, ani poddać się eksperymentowi dematerjalizacji. Ale może przecież nie zanosi się jeszcze na nią w odniesieniu do mnie, skoro zaszczyciła mnie pani odpowiedzią (drobny przejaw mojej zadziwiającej skromności, zauważonej przez Panią).

Chociaż — cała ta łaskawa odpowiedź wcale odpowiedzią nie jest, bo pomija milczeniem rzecz, o którą mi przedewszystkiem chodzi. Myślałem, napiszę szczerze i może na tej drodze coś się wyjaśni, dowiem się czegoś konkretnego. Co za naiwne złudzenie. Odpowiedzieć na szczerość szczerością, to zbyt kłopotliwa historja. Lepiej przecież zyskać na czasie, wyślizgnąć się jak wąż, lub jak nieuchwytna wiewiórka umknąć na szczyt drzewa. A ty, człowieku, stój bezradnie na dole i wypatruj oczy.

Czy oczekiwała Pani czego innego w moim liście? Czego? Wyznań, zapewnień, wielbiących lub rozkochanych słów? Czy może miałem zachwycać się Pani pięknością?

Nie chcę tego wszystkiego. Boję się słów banalnych, wyświechtanych, anemicznych. A także nie mogę mówić o piękności, bo przecież Pani wcale piękną nie jest. Pani może się podobać nawet bardzo, zaciekawiać, niepokoić, niestety, tak — lecz o piękności mowy być nie może. Ale to ważniejsze i wartościowsze od piękności rysów; czasem nawet taka doskonała piękność działa na nerwy, znudzi wkońcu. A u Pani, nigdy nie można przewidzieć jak będzie wyglądała. Nieraz nie zauważy się Pani nawet na ulicy lub w towarzystwie. A znów kiedyindziej nie ma człowiek oczu dla nikogo, tylko dla Pani, nie istnieje nikt inny, prócz Pani. To chyba lepsze od premjowanej piękności.

Czy jestem młody? O cóż to chodzi — o metrykę, czy o samopoczucie? I jedno i drugie w przykładnej harmonji.

O wartości korespondencji i jej urokach pisze Pani bardzo pięknie. Widocznie uprawia Pani ten dział sztuki z zapałem, a szufladki biurka kryją niezawodnie różne ciekawe dokumenty. Dla mnie to dotychczas teorja, którą radbym przestudjować w praktyce z Panią. Może Pani w listach pozwolić Sobie na ironję, na drobne złośliwości i zachować w pełni swój styl w obcowaniu z mężczyznami. Dam sobie z tem radę. Niech Pani tylko pisze jak najczęściej.

Nie myli się Pani przypuszczając, że mam satysfakcję z wypowiedzenia w poprzednim liście pewnych uwag, na które Pani zasłużyła. Wiem, że je Pani rozważa i bezstronnie ocenia. A i w dzisiejszym liście znajdzie się także sposobność do czegoś podobnego.

I w tem ma Pani słuszność, że w rozmowie przeszkadzałaby mi Jej żywa obecność do rozprawienia się z niektóremi rzeczami. Mimo zapewnienia, że jest Pani zgodliwą i łagodną kobietą. Nie przeczę tym obu przymiotnikom, ale wolę aby promieniowały na innych. Osobiście, przenoszę otwartą złośliwość, gdyż z taką łatwiej walczyć. Przyjemniej.

Mam też nadzieję, w myśl słów listu Pani, że na tej drodze, nie zawadzając sobie fizycznie, dojdziemy przecież do jakiegoś porozumienia.

Zaczynam nawet przypuszczać zuchwale, że te różne dobre, tkliwe, słodkie może nawet słowa przyjdą kiedyś do mnie.

Czekanie w niepewności, w zawieszeniu, jakże trudne, jak męczące bywa czasem.

ANDRZEJ

WIERSZE

Wieczór w ogrodzie od wierszy aż gęsto;
Codzień po nowe idę tam jak w dym,
A gdy coś brzęknie, to nie wiem często,
Bąk to, czy rym

W białych tytoniach, co zakwitły gęsto,
Same poprostu cisną się do rąk,
A gdy coś brzęknie, to nie wiem często,
Rym to, czy bąk?

MARYLA WOLSKA

JUŻ

Czegoś żółknie kasztan stary,
Wielki kasztan koło róż,
Coraz słabiej tną komary,
Niema rady... Tak, to już!

Sadownicy w swojej szatrze
W sinym dymku wędzą susz...
Nadsłuchuję, wącham, patrzę —
Niema rady... Tak, to już!

Coraz więcej w czarnych włosach
Białych nitek mam... I cóż?!
Babie lato na pokosach!
Niema rady... Tak, to już!

MARYLA WOLSKA

PRZED ZIMĄ

I

Po sponsowiałych na drzewie owocach,
Po astrach sokiem księżyca syconych,
Po nocach
Mgławych i szronem jasno ubielonych —
Czekamy czegoś, co nadejdzie z dali
Białe jak radość, głębokie jak ból.

Zorzy na śniegach będziemy czekali,
Cieni błękitnych, albo łun różanych
Ognistych —
Czekać będziemy ognia, który pali,
Po łanie śniegu miota się kolisty
I na tej bieli czarny znaczy ślad...

II

Winogrona, zrumienione przez jesień,
Róże w uschłym kraśniejące ogrodzie —
Tlące ognie spopielałych uniesień,
Słodycz snów, żegnająca w odlocie...

Gwiazdy duże, promieniste, dojrzałe
W lawie niebios nad mem oknem wiszą
I ostatnie swe gorące hejnały
Nucą sercu przed zimową ciszą.

IDA WIENIEWSKA

JABŁKO...

Jabłko różami pachnące będziemy jedli we dwoje,
Jabłko słońcem nagrzane na połowę rozkroję —
Rozetnę na pół jak serce pod wieczór ciszą [wezbrany,
Jabłko różami pachnące, uśmiechem słońca [nagrzane.

Owoc to będzie pierwszy na spółkę spożywany —
Złoty jak owoc Hesperyd, od wzruszenia rumiany.
Lecz jakiż będzie ostatni? Czyli rozsłodzi nam [usta?
Czy będzie gorzki? Czy mdły? Czy jako czara [pusta — ?

IDA WIENIEWSKA

DYNASTJA STRACHÓW



Wpośród pięknych pań i mężczyzn z najlepszego towarzystwa, — jakiś staruszek zaśmiał się do rozpuku:

— Strachy? Oh, proste bajeczki!

— Jakto, pułkowniku, — wtrącił nieśmiało profesor Langoseo, — a ciało astralne?

— Ciało astralne, powiada pan?

— Telepatja... czego zmysły nasze ogarnąć nie mogą...

— Nasze zmysły? Właśnie... Dużoby można o tem mówić... ale pod warunkiem zupełnej dyskrecji...

Spojrzano na niego ze zdziwieniem:

— Chce pan nam opowiedzieć jakąś historyjkę?

— O strachach?

— Trzeba będzie sobie uszy zatykać? — wtrąciła jedna z pań.

Pułkownik otrząsnął niedbale popiół z cygara i odparł:

— Wszystkiego będzie potrochu... Oh — taka przygoda myśliwska... ze strachami... I uszy trzeba będzie zatykać!... ale uprzedzę panie o tem zawczasu.

Całe towarzystwo skupiło się przy nim. Słychać było przez chwilę tylko stuk przysuwanych krzeseł.

— Pan pułkownik ma głos, — oświadczył profesor. — *Continuere omnes.*

I pułkownik zaczął opowiadać!

*

Jakieś trzydzieści lat temu miałem jedną tylko namiętność: polowanie.

W owym roku wybrałem sobie pewną maleńką wioskę w Toskanji. Szedłem piękną drogą ocienioną sosnami, rozkoszując się świeżą miłą wonią macierzanki i nasłuchując monotonnego wołania kukułki.

Słońce zachodziło właśnie poza lasami Apeninów, kiedy znalazłem się na dużej zielonej łące, przypominającej zupełnie alpejskie pastwiska. Poza nią woddali widniała jakaś wieś, a jeszcze dalej, w górze, dworek szlachecki, zapewne siedziba jakiegoś potężnego magnata. Dworek otoczony pióropuszem starych stuletnich drzew, z ponad którego wystrzelała samotna wieżyczka.

Ruszyłem w stronę owej wioski.

Nietrudno było mi odnaleźć jedną jedyną zresztą oberżę. Duża parterowa sala, a poza nią w głębi kuchnia. Po bokach długie, wąskie sosnowe stoły. Na ścianach stare ilustracje z dzienników i przedawnione karty myśliwskie.

Na spotkanie wyszła gospodyni, zachęcająco uśmiechnięta. Była to wysoka, zgrabna i ładna blondynka, o białej twarzy a czarnych oczach. Mała dziewczynka, również blondyneczka, czepiała się jej sukni. Pozostawiała za sobą miłą woń świeżej bielizny i lawendy...

Skoro dowiedziała się, że zamierzam zjeść u niej kolację i przenocować, o ile się znajdzie miejsce (a na szczęście miejsce było), poczęła się krzątać, biegając od kredensu do szafy i wydobywając bieliznę równie świeżą i pachnącą.

Usiadłem koło okna przy szklance dobrego wina. Na tle ciemniejącego szafiru nieba rysowały się kontury owego dworku, któremu przypatrywałem się z zaciekawieniem. Kto wie, jakie kryje on w sobie tajemnice, jaka jest jego historja?

Zagadnąłem o to mą gospodynię, — ale zamiast odpowiedzieć, potrząsnęła tylko znacząco głową. Ale aptekarz, który wszedł właśnie i przywitał się ze mną odrazu bez ceremonji, jakby ze starym znajomym, udzielił mi ochotnie żądanych wyjaśnień. Bardzo to był gadatliwy i towarzyski jegomość: przysiadł się do mego stołu, napił się mego wina i opowiedział mi historję owego dworka. Historję ostatnich kilkudziesięciu lat, — gdyż dawniejsze dzieje, to już należało do kompetencji pana naczelnika poczty. Ten ostatni zjawił się jakby na zawołanie: przyszedł w towarzystwie brygadjera żandarmerji i radnego gminnego.

Zasiedli wszyscy dookoła, przyglądając się jak zajadałem sałatę i omlet. Oczywiście mówiono tylko o owym starym dworku, największej dumie i osobliwości całej wioski.

— A można go zwiedzać? — spytałem.

— Naturalnie, — odpowiedział aptekarz. — Angelina (mówił wskazując na gospodynię) ma klucze, ale niechętnie je daje. Boi się, aby goście nie zniszczyli ogrodu lub nie płoszyli zwierzyny.

— Jakiejże to zwierzyny?

— Prawda, pan jesteś myśliwym. Otóż trzeba panu wiedzieć, że w parku okalającym ten dwór poprostu roi się od wszelakiej zwierzyny: zające, borsuki, wiewiórki, łasice, podobno nawet i lisy, — nie mówiąc już o królikach i sarnach.

— Bagatela! — krzyknąłem. — Toż to muszą być wspaniałe polowania z zasiadki, w jasne noce księżycowe!

— O nie! — przerwał mi naczelnik poczty, — byle nie w nocy!

— A to czemu?

Spojrzeli po sobie, — twarze im się nagle zachmurzyły. Pan asesor przeżegnał się ukradkiem:

— Bo... bo tam straszy...

I wszyscy naraz poczęli mi opowiadać historję o jakiejś kasztelance, która przed paru wiekami zabiła Pię dei Tolomei i której duch ukazuje się dotychczas każdemu śmiałkowi, co odważyłby się zakłócić jej spokój i nocować w tym dworku.

— Oh, bajeczki dla dzieci! — oświadczyłem, podniecony doskonałem winem. — Macie na to jakie dowody?

Owszem, były dowody. Przytaczali mi fakty. Oto

przed pięciu czy sześciu laty jakiś odważny myśliwiec postanowił przespać całą noc we dworku. Rano znaleziono go w łóżku, napół żywego... Ten sam los spotkał innego niedowiarka przed trzema latami, — toż samo zupełnie powtórzyło się i zeszłego roku...

Wiadomo państwu, że podobne historje o strachach kończą się zawsze jednako: znajdzie się zawsze ktoś, kto chce się założyć, — i jakiś lekkomyślny śmiałek, który przyjmuje zakład. Tym razem ja nim byłem. Nadaremnie próbowano odwieść mnie od tego zamiaru; napróżno gospodyni, posłyszawszy o co idzie, namawiała mnie, abym się raczej przespał w czyściutkiem, świeżo pościelonem łóżku. — Nic mnie nie mogło powstrzymać! Wszystkiemu winne było to przeklęte doskonałe wino! Choć nie, wcale nie przeklęte... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wybrałem się tedy w ową Krainę Niewiadomego, eskortowany przez Angelinę, przez mych świeżych znajomych i przez całą niemal ludność wioski, wybierającą się niby na jakieś przedstawienie teatralne.

Wszyscy jednak zatrzymali się już przed furtką wchodową do parku. Jeszcze próbowano mnie odwieść od mego zamiaru, — aż ostatecznie przestąpiłem próg owej fatalnej furtki, mając za jedynego towarzysza tylko psa, należącego do Angeliny. Zamknęła się za mną furtka ze złowieszczym zgrzytem; zagłębiłem się w czerń parku, niewiele mając pożytku z małej pochodni, ofiarowanej mi na drogę przez brygadjera.

Pies, nie oglądając się nawet za mną, puścił się pędem przez aleję; szedłem wślad za nim, żegnany rozmaitemi życzeniami i uwagami, których odgłos dochodził do mnie z poza ogrodzenia. Aleja była krótka. Po prawej stronie ujrzałem otwartą bramę, wyciosaną z surowego kamienia, bez drzwi. Pies wszedł do wnętrza, a ja za nim. Po przejściu jakich trzydziestu schodów, znajdujących się w opłakanym stanie, spostrzegłem jakieś uchylone drzwi.

Przyznam się państwu szczerze, że przeszedł mnie w tej chwili lekki dreszczyk. Gdyby te drzwi były otwarte narozcież lub mocno zamknięte, — nie zrobiłoby to na mnie większego wrażenia. Ale właśnie tak



lekko uchylone, — to bezpośrednie sąsiedztwo czegoś Niewiadomego co czai się cicho poza drzwiami, — to przejęło mnie strachem. I to strachem prawdziwym: włosy mi się zjeżyły, zimny pot oblał mi czoło, serce tłukło się w piersiach jak młotem, tchu mi brakło. Całe szczęście, że u ludzi o silnych nerwach przestrach ustępuje miejsca miłości własnej. Pies podniósł pysk do góry i spoglądał na mnie. A we wzroku jego — zdawało mi się — błyszczała jakaś leciutka, nieuchwytna ironja... Więc jednem energicznem kopnięciem nogi otworzyłem owe drzwi i wszedłem do środka.

Tak, — najgorsze już minęło!

Znalazłem się w jakimś przedpokoju, nagim zupełnie, jak szczera prawda. W głębi szerokie okno, po bokach dwoje drzwi, zamkniętych. Pies podszedł ku drzwiom znajdującym się po lewej stronie. Ja natomiast, z płonącą pochodnią w ręku podszedłem ku drzwiom po stronie prawej, — i stwierdziłem, że wiodły one na jakiś mały kurytarzyk bez wyjścia.

Wówczas poszedłem za psem. Minąłem dwa zupełnie puste pokoje, aż wreszcie znalazłem się w trzecim, gdzie królowało duże łóżko, bez pościeli, zarzucone tylko staremi kocami. Koło łóżka szeroka ława; — to i wszystko. Przepraszam, wisiał tam jeszcze jakiś straszliwy bohomaz, przedstawiający jakąś ohydną gębę, coś pośredniego między pospolitym opryszkiem a sędzią wiejskim. Jegomość ten spoglądał na mnie groźnie; prawy policzek, z którego farba była zdrapana, wydawał się jakby zżarty przez obrzydliwy lupus.

Zapaliłem cygaro, aby odwrócić uwagę od tego obrzydliwego portretu, — i wówczas zauważyłem, że pies drapie niecierpliwie podłogę, jakgdyby chciał zwrócić na siebie mą uwagę. Kiedy zrozumiał, że patrzę na niego, bez żadnych ceremonij zawrócił i wybiegł z pokoju. Otworzyłem okno i zdążyłem jeszcze zauważyć, że wybiegł z domu i popędził naoślep aleją, jakgdyby go kto gonił.

Zostałem tedy sam. Ale strach już minął. Pochodnię zatknąłem w żelazny pierścień przytwierdzony do ściany, poczem oparłem się o ramę okna, rozkoszując się śpiewem słowika. Poprzez gęstwinę drzew wioski zupełnie nie było widać.

Jak długo tak przesiedziałem, z przymkniętemi oczyma, nasłuchując? Może nawet i zdrzemnąłem się trochę, ukołysany słodkim śpiewem słowika. W każdym razie nie spałem długo. Obudziłem się nagle, zrywając się na równe nogi.

*

— Teraz pewnie przychodzi najstraszniejsze, — wtrącił profesor.

—Może trzeba zamknąć oczy, aby nie widzieć? — dodała któraś z pań.

— Wręcz przeciwnie... — odparł pułkownik. — Raczej godziłoby się zatkać sobie uszy...

I ciągnął dalej, wśród ogólnego naprężenia:

*

Otóż — zerwałem się na równe nogi, przebudzony przeraźliwym szczękiem łańcuchów i żelaziwa, — jakgdyby ktoś wlókł za sobą całą baterję kuchenną.

Pochodnia płonęła spokojnie, rozsiewając wokół czerwonawe światło; z obrazu spoglądał na mnie ów podejrzany jegomość, jakby natrząsając się z mego przerażenia.

Instynktownie chwyciłem za strzelbę, przyłożyłem ją do oka i wymierzyłem w stronę drzwi. Otworzyły się one gwałtownie; ujrzałem jakieś wysokie białe widmo, oświetlone łagodnem niebieskawem światłem. Ale trwało to tylko jeden moment. Na widok wymierzonej strzelby widmo krzyknęło lekko, zrzucając na ziemię biały całun, którym było owinięte. Latarka wypadła mu z rąk. I oto stwierdziłem ze zdumieniem, że przede mną stoi... moja gospodyni z oberży.

— Łaski!
— Jakto? To pani?
— Tak... to ja... Niechże mi pan nie robi żadnej krzywdy... Wszystko panu wyjaśnię.
— Pani sama? — spytałem dla wszelkiej pewności, nie spuszczając strzelby.
— Sama... niechże pan odłoży strzelbę.
Powiedziane to było z takim dziwnym uśmieszkiem... Cóż mam państwu powiedzieć? Człowiek był młody, — miałem wówczas niespełna trzydzieści lat... Więc...

*

— Dosyć już! — oświadczył profesor, wskazując wzrokiem na damy.
Damy zarumieniły się coprawda, ale nie protestowały.
Pułkownik ciągnął dalej:
— Zapuśćmy tedy zasłonę... Zawarłem z Angeliną bliższą znajomość!... Później spytałem ją, po jakiego licha urządza całą tę komedję... Nie trudno to było odgadnąć: Owa zwierzyna w opuszczonym parku dawała śliczny dochód, którego za żadną cenę nie chcieli utracić. Więc...
— Ale czemuż to pani sama „robi ducha", — a nie jej małżonek? — pytam.
— Bo... bo... widzi pan... czasem się trafi jaki śmiałek, tak jak pan... który nie da się wziąć na strachy... wówczas trzeba mu trafić do przekonania...
— Aha, rozumiem... mniejsza o to... I dużo takich już pani przekonała?
— Kilku zaledwie. Ostatni raz przed trzema laty. Przypomniała mi się ta mała blondyneczka, którą wieczorem widziałem uczepioną do sukni matki.
— To był blondyn?
— Skąd pan wie o tem?
— Oh, — tak mi to przyszło na myśl... Ale podobno i w zeszłym roku znalazł się jakiś śmiałek?
— A jakże... taki odważny, co naprawdę zemdlał ze strachu... ledwośmy go rano mogli docucić.
Zaśmieliśmy się oboje.
Kiedy przez okno poczęły się wdzierać pierwsze promienie świtu, Angelina mówi:
— Teraz musi pan trochę pomóc.
— Z całą chęcią! Cóż mam zrobić?
— Oto kiedy tu ludzie przyjdą, trzeba aby pan wyglądał strasznie, — przybity, wyczerpany, z podsiniałemi oczyma.
— Nic łatwiejszego... wystarczy spojrzeć tylko na mnie. Pogroziła mi figlarnie paluszkiem.
— Jednem słowem, — podjąłem — trzeba wierzyć w duchy?
— Właśnie! Przyrzeka mi pan to?
— Jakżebym mógł odmówić?
— Dziękuję. A wróci pan do nas niedługo?
— I to przyrzekam.
Dotrzymałem obietnicy. Znaleziono mnie w łóżku napół martwego, w opłakanym stanie. Nie mogli wyciągnąć ze mnie ani słówka. Na me żądanie władowano mnie na wózek. Ludzie kiwali znacząco głowawi, gdy odjeżdżałem... Asesor żegnał się, mrucząc pod nosem:
— To nieczyste sprawy!
Miał rację.

*

— Ale, — wtrącił profesor, — Angelina mogła odgrywać rolę ducha tylko przez pewien czas... Jakimże sposobem mogła... trafiać do przekonania śmiałków z chwilą, gdy się zestarzała?
— Właśnie to samo pytanie zadałem sobie przed pięciu laty. Chciałem sprawdzić naocznie, czy duchy nawiedzają jeszcze ciągle ów dworek, położony w cichej podgórskiej wiosce u stóp Apeninów... Otóż... w dworku tym ciągle jeszcze straszy.
— Jakto? Ciągle jeszcze Angelina?
— Nie. Obecnie jej córka... To prawdziwa dynastja strachów.

ALESSANDRO VARALDO

Przełożył K. Rychłowski

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 6 —

— Kto? babunia i dziadunio? Najlepsi w świecie! I ciocia Emilja także. Tylko że są straszliwie starzy i grać potrafią jedynie w brydża. I wogóle to nie to samo. A przytem — —
Urwała; niepoczciwie względem biednych staruszków byłoby powiedzieć: „przytem i kocham ich nie tak samo".
— Więc tak bardzo nas lubisz?
— Tak.
— Cieszę się, że nas lubisz.
Umilkli.
W górze, na tarasie, ukazali się wujostwo Fieldingowie. Doszedł ich głos wuja Roberta, przyciszony i niespokojny.
Ania nadstawiła ucha. — Czy to nic złego? — zapytała. — Wciąż o czemś radzą i radzą.
— Papa jest nierad z Eliota.
— Z Eliota?
— Że chce być lekarzem.
— Czy i ciocia nierada?
— Nie. Byłaby nierada, gdyby wierzyła. Lecz nie wierzy, by się to miało urzeczywistnić. Nigdy nie wierzy w to, czego sobie nie życzy. Ale to się stanie. Nie zdołają mu przeszkodzić. Ponieważ nie puścili go rodzice do Barta, więc uprawia sobie medycynę w Cambridge. Świeżo właśnie wyszło najaw, że się tam cały czas tem parał. I że pracuje jak wszyscy djabli.
— A czemuż nie ma być lekarzem, skoro tego pragnie?
— Bo jest najstarszym synem. Co innego, gdybym to był tylko ja, lub Colin. Lecz Eliot ma odziedziczyć majątek. Tymczasem on powiada, że nie chce. Nie życzy sobie majątku. Mówi, żeby go ojciec mnie odpisał. I to właśnie trapi kochanego staruszka. Uważałby to za niesłuszne.
— W stosunku do kogo?
Jerrold się zaśmiał.
— Ba, w stosunku do Eliota. Ubrdał sobie w swej poczciwej starej głowie, że Eliot powinien dziedziczyć. Nie chce zrozumieć, że Eliot sam wie lepiej, czego mu potrzeba. Ferma byłaby mu porządną kulą u nogi... A i ja także jestem w dość głupiej sytuacji. Niezbyt mi przyjemnie brać ją, wiedząc, że papa chce ją oddać Eliotowi. Właściwie nie chce; wolałby nawet, żebym ja ją miał, bobym się nią zajmował. Ale to go jeszcze bardziej gniewa na Eliota. Tak czy owak, nie chce mi się tego majątku.
— Czemu?
— Bo mógłbym go mieć tylko w razie śmierci papy, a wolałbym raczej sam umrzeć przed nim.
— Ja myślę tak samo o swojej fermie.
— Paskudztwo, nieprawdaż? No, ale ja się nie zadręczam. Papa jest Bogu dzięki zdrów jak ryba; dożyje co najmniej do osiemdziesiątki. Będę miał wówczas pięćdziesiąt lat.

— Ty jesteś zupełnie w porządku, — rzekła Anna. — Dla mnie natomiast jest to okropne. Dziadunio może umrzeć lada dzień: już teraz ma siedemdziesiąt pięć lat. W każdym razie stanie się to całe wieki przed twoją pięćdziesiątką.

— ...której może nigdy nie doczekam, jeśli się Indje załatwią ze mną po swojemu, — roześmiał się wesoło. Myśl o własnej śmierci wydawała mu się nieprzeparcie śmieszną.

— Indje?!

Znowu się zaśmiał z jej zdumienia.

— A tak. Wstąpię do indyjskiej służby administracyjnej.

— O, Jerroldzie! Odjedziesz na całe lata, niemal na całe życie, jak tatuś, i nigdy się nie zobaczymy.

— Wszak nie jadę zaraz. Najwcześniej za pięć lat. Cała fura czasu.

— Ale potem... jeszcze większa fura czasu.

Ponuro wpatrzyła się w jeden punkt, przeżywając zgóry chwilę rozstania.

— Cóż znowu! — rzekł Jerrold. — Dlaczegóż u Boga nie miałabyś i ty się wybrać do Indyj? To dopiero byłoby morowo, co? Zgodziłabyś się?

— I jak jeszcze!

— Cisnęłabyś swą fermę?

— Wszystkobym cisnęła.

— No to dobrze. Chodźmy zagrać w tennisa.

Grali dwie bite godziny, śmiejąc się i krzycząc. Adelina, potężnie znudzona Eliotem i jego niedorzecznemi sprawami, zeszła na trawnik przyjrzeć im się. Lubiła ich śmiech. Dobrze jest mieć tu Annę; Anna jest taka szczęśliwa.

Jan Severn podszedł do niej.

— Czyś kiedy widział szczęśliwszą duszę niż ten mój głuptas? — zwróciła się do niego. — Czemuż i Eliot nie może być wesoły i zadowolony jak Jerrold?

— Nie sądzisz, Adelino, że główny powód tkwi w tem właśnie, że Eliot nie jest Jerroldem?

— Jerrold jest cudowny; od jego urodzenia nie miałam z nim ani jednego dnia kłopotu.

— Zato inne kobiety będą z nim miały kłopot — powiedział Jan Severn.

3.

Colin grał. Całe popołudnie ćwiczył się był z pasją: gamy, potem wprawki. Potem pauza; a teraz oto palce wśliznęły mu się w pierwsze akordy sonaty waldsteinowskiej.

Ukradkiem zaczął, tajemniczo; następnie porwał się gwałtownie, niecierpliwie, crescendo, w miarę wzrastania namiętności muzyki. Obecnie, gdy już wpadła w swój rytm, ręce płynęły mu słodko i radośnie.

Zachodnie okno bawialni otwarte było na taras, gdzie Eliot i Anna siedzieli, słuchając.

— Nadzwyczajny chłopiec, — rzekła — nieprawda?

Potrząsnął głową.

— Nie tak nadzwyczajny jak był. Ani w połowie nie tak nadzwyczajny jakby powinien być. Na zawodowego artystę nigdy się nie wykieruje; wie o tem.

— Cóż to się stało?

— Nic. W tem sęk. I nic się nie stanie. Zatrzymał się. To samo z jego śpiewem. Nic z niego nie będzie, o ile nie wyjedzie dokąd na studja. Jak nie do Berlina czy Lipska, to przynajmniej do Londynu. Ale ojciec nie może tam zamieszkać, a matka bez niego nigdzie się nie ruszy. To też biedny Col musi tu tkwić bez sensu, dowiadując się od swych głupich starych nauczycieli rzeczy, które już przed trzema laty umiał napamięć. A będzie jeszcze gorzej, kiedy pojedzie do szkół. Zabraknie mu praktyki, a nikt o to dbać nie będzie... Inna sprawa, gdyby sam dbał.

Colin przeszedł na lente; poważna, czysta namiętność, z uroczystego wydobywana basu, drgała w swem powściągliwem natężeniu.

— Och, Eliocie, on przecież dba!

— Tak, do pewnego stopnia; lecz nie dostatecznie. Kiedy się chce naprawdę czegoś dopiąć, trzeba orać jak wół.

— W takim razie i z Jerrolda nic nie będzie.

— A, za pozwoleniem! Ale ten dlatego właśnie dopnie swego, że nie dba; że praca sama w rękach mu się pali; że nie ma potrzeby wyłazić ze skóry... A znowuż z Colinem ta jest bieda, że dba, i to ogromnie, o mnóstwo innych rzeczy. Naprzykład o nas. Urwie swą grę wpół frazy, jeżeli nań Jerrold zawoła. Powinienby nas wszystkich nienawidzić z całej duszy, bo mu wszyscy przeszkadzamy. Najgorzej powinienby nienawidzić Jerrolda.

Z za węgła tarasu wyszli Adelina i Severn.

— Co to za wykład o nienawiści? — zagadnął pan Jan.

A pani Fielding dorzuciła:

— O czem ty prawisz, Eliocie?

Eliot podniósł się ociężale.

— Powiadam, — odparł — że nic nie wskóra, kto nie jest gotów dla dopięcia swych celów popełnić zbrodni.

— Wiem, dla czego popełniłabym zbrodnię, — wtrąciła Anna; — lecz nie powiem.

— Nie potrzebujesz mówić; popełniłabyś ją dla każdego, kto ci miły.

— Nie mylisz się. Gotowabym kłamać, by człowieka uszczęśliwić; kradłabym dlań, jeśliby był głodny; zabiłabym każdego, ktoby go krzywdził.

— Wierzę ci, — stwierdził Eliot.

— Wiemy, dla kogoby Anna dopuściła się tych zbrodni.

— Nie. Nic o niej nie wiemy, czego sama umyślnie nam nie okazuje, — zaprzeczył Eliot, by zaoszczędzić jej rumieńca.

— Brawo, Eliot, ujmuj się za nią, — rzekł Severn, rozumiejąc przytyk Adeliny. — A Jerrold, czyby popełnił przestępstwo?

— Prędzej niż każdy z nas. Tylko nie dla indyjskiej Służby Administracyjnej. Rznąłby, rabował, łgał jak najęty dla czegoś, o coby mu naprawdę chodziło.

— Naprzykład dla Colina — rzekła Anna.

— Rznąłby? łgał i rabował?... — zamyślił się jej ojciec.

— Bardzo to podobne do Jerrolda, nieprawdaż? — powiedziała Adelina. — Ej głuptasy, głuptasy. Dzięki Bogu, że sami nie wiedzą, co plotą... A oto i herbata.

Muzyka urwała się raptownie i z domu wybiegł Colin.

— Co robi Jerrold? — zapytał.

Było to, jak twierdził Jerrold, formalne opętanie.

4.

Po skończonej herbacie Adelina i Anna siedziały we dwie na tarasie. Reszta towarzystwa rozeszła się. Ciotka spojrzała na zegarek.

— Która? — spytała Ania.

— Dwadzieścia na szóstą.

Dziewczyna się zerwała:

— A ja o wpół do szóstej mam jechać konno z Jerroldem!

— Tak? Myślałam, że posiedzisz ze mną.

Anna obróciła się.

— Życzysz sobie tego, ciociu?

— Czemu pytasz?

— Bo jeśli naprawdę chcesz, to oczywiście zostanę. Jerry się nie pogniewa.

— Kochane dziecko... A sądziłam, że mię nigdy nie polubisz. Pamiętasz?

— Pamiętam, żem była względem cioci wierutną świnką.

— Tak jest. Ale dziś troszeczkę mnie kochasz, no nie?

— Teraz ja powtórzę, ciociu: czemu pytasz?

I opierając się na poręczach fotelu, cała się pochyliła nad ciotką. Adelina ujęła jej twarzyczkę oburącz i przyciągnęła blisko, lecz, drażniąc się zkolei, nie całowała, jeno z uśmiechem patrzyła jej w oczy.

— Kochasz mię — szepnęła; — lecz pocięłabyś mnie na drobne kawałeczki, gdyby to miało dogodzić Jerroldowi.

Dziewczę wyprostowało się nagłym ruchem i odwróciło głowę.

— No pędź już, małpeczko, bo Jerrold pewnie się niecierpliwi... Nie chcę cię zatrzymywać. Chwilkę... Gdzie jest wuj Robert?

— Na fermie.

— Utrapienie z tą jego fermą. Hm...: to może poprosisz swego tatusia, żeby mię tu przyszedł zabawiać.

— Wnet go tu przyślę. Czy na pewno nie potrzebuje mnie ciocia?

— Na pewno, ty zabawny bachorze.

Anna leciała, żeby nadrobić stracony czas.

4.

Na tarasie przypiekało słońce. Adelina wstała z fotelu; Jan Severn wstał także, leniwie.

Ciągała go za sobą do sadzawki ze złotemi rybkami, kazała chodzić po całym ogrodzie, jużto słuchając co mówił, jużto przestając słuchać, co chwila oddalając się o kilka kroków by narwać jeszcze i jeszcze więcej błękitnych kwiatów, potem zaprowadziła go do bawialni i zmusiła przyglądać się, podczas gdy je rozkosznie układała w wysokich chińskich dzbanach. Potem wyciągnęła go na rozpalony taras; obecnie zaś, w swym nieukoju, znów powstała z miejsca, wołając Severna za sobą.

— Gorąco tu jak w piecu. Możebyśmy przeszli do bibljoteki?

— Jak chcesz, Adelino. — Mówiąc to westchnął.

Dokąd zostawali poza domem, czuł się bezpiecznie i spokojnie; natomiast bibljoteki bał się. Znalazłszy się ówdzie, sam na sam z nią w tej izbie, którą wybrała do ich ze sobą obcowania, gotów jeszcze zrobić z siebie Bóg wie jakiego durnia. Ostatnim razem tylko nagłe wejście pana Roberta zapobiegło jakiemu-ciś szaleństwu. A dziś jej uśmiech i uważna postawa zwiastowały, że oczekuje po nim szaleństw i pragnie ich ku swej rozrywce.

Szedł za nią jak pies; i, jakby w istocie był pieskiem, poklepała przy sobie miejsce na otomanie; on zaś, czując się szalonym i bezpowrotnie zaprzepaszczonym, miejsce to zajął.

Zaległo milczenie. Aż naraz zdecydował się.

— Adelino, bardzo mi przykro, lecz pokazuje się, że muszę jechać jutro.

— Jechać? do miasta?

— Tak.

— Ale... wrócisz?

— Obawiam się... że... nie.

— Mój drogi Janie, nie zabawiłeś tu nawet przez tydzień. Sądziłam, że będziesz u nas do końca urlopu.

— Ja również tak sądziłem, niestety jednak okazało się, że to niemożliwe.

— I czemuż to?

— Bo — — bo muszę dopilnować różnych spraw.

— Niewiedzieć co. I cóżby Robert powiedział na taką ucieczkę?

— Robert zrozumie.

— W takim razie mędrszy jest ode mnie.

— Wiesz przecie, że jeśli odjeżdżam, to z musu a nie z ochoty.

— Wszystko jedno, jest to z twej strony niegodziwość. Strasznie mi będzie brak ciebie.

— No tak; wszak byłaś łaskawa wspomnieć, że cię bawię.

— W tej chwili, mój drogi, nie bawisz mnie bynajmniej.., Czy i Annę zabierzesz mi także?

— Jeżelibyś życzyła sobie, by została, to nie.

— Oczywiście życzę sobie by została.

Umilkł zamyślony i jedną chudą ręką gniótł drugą.

— Chciałbym cię o coś zapytać — — —

— Słucham?

— Mówiłem, iż Ania cię polubi, jeśli dasz jej czas. Lubi cię teraz.

— Tak. Choć rzecz to zgoła dziwna, myślę, że jest tak rzeczywiście.

— Otóż... nie zrób, by ją to raniło.

— Raniło? Któżto ma ją ranić?

— Ty, o ile dopuścisz by ci się narzucała ze swą miłością, gdy jej nie będziesz chciała.

— Czy moje postępowanie wskazuje, że jej nie chcę?

— Twoje postępowanie jest anielskie. Mimo to straszysz mię nieco. Rzucasz na to dziecko przemożny urok. Nie używaj go za często. Daj pokój jej uczuciom. Nie działaj na nie z ciekawości i dla igraszki. Gdyby się próbowała wyłamać, nie trzymaj jej przemocą. Nie targaj za łańcuch i nie... nie baw się Anną.

— Tak tedy myślisz o mnie?

— O, wiesz dobrze, jak myślę.

— Czy wiem istotnie? Czy kiedykolwiek wiedziałam? Mówisz rzeczy bardzo okrutne. No, i czegóż jeszcze nie mam Ani wyrządzać?

— Na miły Bóg nie dokuczaj jej Jerroldem.

— Mój drogi Janie, prawisz o tem jak o czemś poważnem. Ręczę ci, że Jerrold o niej nie myśli.

— Ani ona nie „myśli” o Jerroldzie. Nie myślą, biedactwa; nie zdają sobie sprawy, co się w nich dzieje. Nikt z nas nie wie nigdy, co się w nas staje, aż się ono stanie. A wtedy już za późno.

— Dobrze. Przyrzeknę nie dopuścić się żadnej z tych straszliwych zbrodni, jeśli mi powiesz rzetelnie, czemu uciekasz.

Spojrzał jej w oczy.

— Mam ci powiedzieć? Wiesz sama. Odjeżdżam z tegoż powodu, dla któregom przyjechał. Jak możesz żądać mego tu pozostania?

— Zapewne, skoro tak to bierzesz...

— Powiesz, żem nie powinien był przyjeżdżać, skoro tak to biorę. Lecz wiedziałem, że nikogo nie krzywdzę prócz samego siebie. Wiedziałem, żeś ty bezpieczna. Dla ciebie nigdy nie istniał nikt poza Robertem.

— Nigdy. Ani przez chwilę.

— Powiadam ci, że wiem o tem. Zawsze wiedziałem. I rozumiałem. Czego wszelakoż nie rozumiem, to że — skoro jest jak jest — czynisz mi to wszystko tak bolesnem.

— Czy ci to czynię bolesnem?

— Piekielnie.

— Biedaku. Ale dasz sobie radę.

— Nie jestem dosyć młody, żeby się z tego otrząsnąć. I czy zakrawa na to? Trwa to od dwudziestu dwu lat.

— Ejże, Janie! nie przez cały czas.

— Bezmała. Nawrotami.

— I „odwrotami”, co?

— Cóż stąd, skoro teraz jest „nawrót”? Tak czy owak, muszę jechać.

— Trudno. Rób jak ci najdogodniej. Tylko nie mów, mój drogi, że to ja cię zmuszam

— Nic nie mówię.

— Chciej wierzyć, że mi przykro. (C. d. n.)

POGADANKA O KWIATACH

Połowa października to już zupełna jesień, należy przygotować się na powitanie zimy, która lada dzień może do nas zawitać; zwykle jednak rozpoczyna się ona dopiero w listopadzie, lepiej jednak być przezornym. Druga połowa października jest zwykłym okresem, kiedy dalje i mieczyki ulegają silniejszym przymrozkom. Gdy to nastąpi, zmarznięte rośliny pozostawiamy jeszcze na kilka dni na grzędach, a gdy zawita dzień ciepły, pogodny, wtedy przystępujemy do chowania naszych roślin na zimę. Dalje należy ściąć na 10—15 cm nad ziemią, ostrożnie wykopać, by nie pokaleczyć jej mięsistych a dość szeroko rozłożonych korzeniaków, w ciągu kilku godzin przesuszyć na słońcu i wietrze, następnie oczyścić z przylegającej ziemi i złożyć na całą zimę w miejscu chociażby ciemnem, dość chłodnem, do którego jednak mróz nie będzie miał dostępu; w piwnicy składać nie radzę, gdyż tam — od nadmiaru wilgoci w powietrzu — korzenie dalij najczęściej pleśnieją i gniją. Mieczyki *(Gladiolus)* ścinamy na 6 cm nad ziemią i następnie ostrożnie je wykopujemy, by nie stracić małych cebuleczek, które się potworzyły przy większej, zbieramy je osobno do przygotowanego naczynia, by z wiosną je wysiać na grzędzie, albo w skrzyni inspektowej. Duże cebulki oczyszczamy narazie niezbyt starannie, a głównie pozostawiamy przy nich ich „podeszwy", które częstokroć łączą z sobą dwie zdrowe cebulki; oczyścimy je kiedyś w ciągu zimy, usuwając wszystkie zeschłe korzenie, suche już wtedy „podeszwy", a jednocześnie zetniemy tuż nad cebulką pozostałe części łodyg.

Kwiaty letnie, które już na grzędach zmarniały, należy usunąć, grzędy przekopać lub przynajmniej przemotykować i porządnie zagrabić, a kto zawczasu przygotował sobie, na grzędach zapasowych, różne odmiany jarmużu, teraz może je przenieść na grzędy najbliżej domu położone, dobierając je stosownie do wzrostu i zabarwienia liści, by otrzymać możliwie najlepsze zestawienie. Jarmuż nie obawia się zwykłych mrozów ni śniegu, więc miły jest dla oka i wśród zimy, zwykle do połowy stycznia.

Na przełomie października i listopada w pełni kwiecia stoją jeszcze asterki jesienne i różne odmiany gruntowych złocieni (chryzantemów), które nietylko że znakomicie o tej porze zdobią ogród, lecz jednocześnie stanowią doskonały materjał na bukiety, trwające w pokoju do dwuch tygodni. W tymże czasie zaczynają kwitnąć ciemierniki *(Helleborus niger)*, które następnie, w ciągu całej zimy, rozwijają pod śniegiem swe wielkie, czysto białe, lub też delikatnie różowo zabarwione kwiaty, zwane przez cudzoziemców „Weinachtsrose" lub „Rose de Noël", gdyż w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku dają dobry materjał bukietowy.

Zebrane w ciągu jesieni nasiona fiołków pachnących i floksów wysokich zimotrwałych, należy pod koniec października wysiać do gruntu, by powschodziły na przyszłą wiosnę; nasiona te, przetrzymane w suchości do wiosny, prawie zupełnie tracą siłę kiełkowania. Cebulki kwiatowe: hiacynty, tulipany, narcyzy i t. d., które w ciągu września i w początkach października wysadziliśmy na grzędy, po silniejszym przymrozku należy pokryć warstwą suchych liści. Również okrywać delikatniejsze inne rośliny, które na czas zimy pozostawiamy w gruncie. Z okrywaniem róż nie należy zbytnio śpieszyć, dopiero gdy powierzchnia ziemi nieco zamarznie, przystępujemy do tej czynności. Bardzo się zaleca (szczególnie dla odmian delikatniejszych), by przed okrywaniem tych róż, najpierw obciąć im nożyczkami wszystkie pozostałe na gałązkach liście i pączki kwiatowe, następnie możliwie nagiąć ku ziemi całe krzaki, pokryć je dość grubą warstwą piasku, lub w braku tego ziemią, a na wierzch dać dopiero suche liście, albo stary, przegniły nawóz. Odporniejsze odmiany można pokryć jedynie choiną i suchemi liśćmi. W tymże czasie poowijać w ogrodzie słomą wszystkie delikatniejsze krzewy, jak piwonje drzewne, hibiskusy, hortensje wielkokwiatowe i inne, zaś różaneczniki *(Rhododendron)* praktyczniej jest okryć gałęziami świerków.

Przechodzimy do roślin doniczkowych. Wielkokwiatowe chryzantemy należy utrzymywać chłodno, ale chronić od mrozu, podlewać umiarkowanie, dawać jak najwięcej światła, chociażby słońca, i dobrze wietrzyć. Odkwitłe chryzantemy ściąć na 5 cm nad ziemią, postawić w miejscu chłodnem i widnem, utrzymywać prawie sucho, by nowy przyrost nie rozwijał się przed wiosną, gdyż to bez potrzeby osłabia rośliny. Wszystkie rośliny szklarni chłodnej, o liściach twardych, skórkowatych, jak bobki, laury, trzmieliny, oleandry i t. d., możemy w ciągu zimy przechować w chłodnej szklarni, a nawet prawie w zupełnej ciemności w piwnicy; tu również można przetrzymać fuksje, prawie wcale nie podlewając, aż do marca. Przygotowane do pędzenia hiacynty, tulipany, tacety, narcyzy i t. d., początkowo również możemy trzymać w piwnicy, ale w stałej, umiarkowanej wilgoci, a gdy ich kiełki lub liście wyrosną tam na kilka cm, wtedy początkowo przenosimy je stopniowo do chłodnego pokoju, bliżej światła, a po 10-u dniach można przenieść do ciepłego pokoju, bliżej okien południowych, zaś nocą trzymać bliżej pieca, podlewając codzień dość obficie, a wkrótce zakwitną. U hiacyntów zdarza się często, że kwiatostan nie wyrasta w górę, lecz pozostaje głęboko wśród liści; bywają dwie najważniejsze przyczyny: albo zbyt późno posadzona cebulka nie zakorzeniła się dobrze, czy też korzenie jej zostały zniszczone przez niedostateczne podlewanie, albo też przedwcześnie zbyt ciepło trzymana cebulka, zbyt szybko pędzona, rozwinęła silne liście kosztem kwiatostanu. Naogół w mieszkaniu rośliny należy podlewać umiarkowanie, ale nie zasuszać, oczyszczać z pyłu, możliwie trzymać je stale (bez ciągłego przenoszenia) w najodpowiedniejszem dla nich miejscu, t. j. bliżej lub dalej od okna, a nigdy zbyt blisko pieca lub radjatora centralnego ogrzewania. Araukarje trzymać chłodno, chronić od słońca, choćby codzień opryskiwać i dawać świeże powietrze, a będzie zdrowo rosła, nie tracąc gałązek, ani też nie zwieszając ich ku ziemi.

S. MAKOWIECKI

KRONIKA

Hr. ELZA BERNADOTTE, siostrzenica króla szwedzkiego, wyszła zamąż za Hugona Cedergrena, generalnego sekretarza szwedzkiej Y. M. C. A. Ceremonja ślubu odbyła się w Malmsjoe, rezydencji rodziców panny młodej, księstwa Oskarostwa Bernadotte. Na ślubie był obecny król szwedzki, następca tronu i kilku członków rodziny królewskiej. Hr. Elza Bernadotte jest prezeską szwedzkiej Y. M. C. A. i na tym terenie poznała obecnego swego męża. W roku 1924 hrabianka, odznaczająca się bardzo samodzielnem usposobieniem, pracowała w fabryce skór w Chicago, chcąc w ten sposób studjować przemysł amerykański.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK w Krakowie, jak i w zeszłym roku, przyjmuje wpisy. Szkoła obejmuje dwa lata nauki; założona została z inicjatywy prof. Rosnera, Rutkowskiego i obecnej dyrektorki szkoły, pani M. Ebsteinówny, a przy wydatnej pomocy finansowej fundacji Rockfellera.

MIĘDZYNARODOWY KOBIECY ZWIĄZEK WIOŚLARSKI powołał do życia angielski Kobiecy Związek Wioślarek w Londynie. Mianowicie na walnem zgromadzeniu zapadła uchwała, że Związek Międzynarodowy będzie miał zadanie opieki nad rozwojem i propagandą kobiecego wioślarstwa w Europie. Do Związku zgłosiły się już Francja, Niemcy, Węgry, Egipt, Rumunja i Australja.

AUSTRJA POSIADA specjalną ligę, która nosi miano „Aequitas", a która stanęła na czele tak zwanego ruchu „maskulinistycznego". Liga ta organizuje w dawnym Hofburgu wiedeńskim, w dniach od 25 do 30 października, kongres w sprawie obrony praw mężczyzny. Członkowie ligi wydali do całej Austrji odezwę, w której wykazują, jak opłakanie ukształtowała się obecnie sytuacja mężczyzn, odkąd kobieta zdobyła sobie prawa polityczne i oddaje się różnym zawodom, dostępnym dawniej tylko mężczyźnie.

PAŃSTWOWA SZKOŁA PRZEMYSŁOWA W WARSZAWIE otworzyła nowy dział fotograficzny, na który przyjmuje się uczennice z ukończoną szóstą klasą gimnazjalną. Taż szkoła otworzyła dwuletnie liceum handlowe z działem handlowym dla dziewcząt, dwuletni dział chemiczny ze specjalnością badania środków spożywczych i kosmetycznych. Informacyj udziela i zapisy przyjmuje kancelarja Państwowej Szkoły Przemysłowej, Warszawa, ul. Górnośląska.

I. K. C. PODAJE: Ogłoszenia matrymonjalne znane już były w Szwecji bardzo dawno, gdyż już w roku 1771 w szwedzkiej gazecie prowincjonalnej „Carlskorna Veckeblad" widniał następujący anons: „Uprasza się wielce szanowną publiczność nie wziąć za złe następującego ogłoszenia. Ponieważ zdarza się często, iż piękna i zasobna dziewica pozostaje niezauważona, gdyż czcigodni konkurenci nie znają jej stosunków materjalnych i nie wiedzą jaki posag dadzą jej rodzice, poleca się niniejszem pewną godną szacunku dziewicę, lat 21 liczącą, bardzo piękną, skromną, z manierami à la mode. Co się tyczy gotowania, prania, pieczenia i t. d., posiada ona znakomite znajomości, które, przez praktyczny użytek w małżeństwie, doprowadzi bezwątpienia do doskonałości. Ma w gotówce i nieruchomościach majątek wartości piętnastu tysięcy talarów srebrem, a pozatem spodziewa się jeszcze legatu od swojej starej babki. Jeśli jaki kawaler, najchętniej szlachcic lub pastor, albo każdy inny dobrze sytuowany mężczyzna, reflektuje na powyższe warunki, niechże poda swój bliższy adres dla opiekuna wymienionej dziewicy w drukarni tejże gazety. Tylko wytworni i dobrze zbudowani kawalerowie o solidnym trybie życia mogą się fatygować z podaniem nazwiska, w przeciwnym wypadku nie otrzymają bliższej odpowiedzi."

ZNANA LITERATKA WIEDEŃSKA i tłumaczka z francuskiego, pani Berta Zuckerkandl, została odznaczona przez rząd francuski orderem Legji Honorowej za zasługi literackie wobec Francji.

DRA LUSTRA Preparaty Lekarsko-Kosmetyczne „Miraculum" zostały na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu zaszczytnie wyróżnione i nagrodzone Wielkim Medalem Srebrnym.

O KULTURĘ CISZY

Hałas wielkomiejski, spowodowany bądźto środkami komunikacyjnemi, bądź wykonywaniem rozmaitych zawodów, czy też wewnątrz domów niesfornem zachowaniem się współlokatorów, prowadzi powoli ale systematycznie do zaburzeń w organizmie ludzkim i do ciężkich niedomagań. Sprawą tą zajęli się już higjeniści i socjolodzy za granicą, przeprowadzili dokładne badania i stwierdzili uszkodzenia słuchu, systemu nerwowego i ogólnego stanu zdrowia. A w dalszych skutkach, oczywiście, zmniejszenie się wydatności pracy. Jako środek zapobiegawczy przeciwko tym zaburzeniom zalecają: nieprzerywany, długi sen w zacisznem, wolnem od hałasów miejscu, który ma wyrównać szkodliwości dziennego gwaru. Proponują też budowę domów mieszkalnych poza miastem, jako środowiskiem pracy i ruchu, wychowywanie społeczeństwa do kultury ciszy, cichego zachowywania się nietylko w obrębie domów i swoich mieszkań, ale i poza ich obrębem. Ścisłe rozporządzenia w tym względzie rozmieszczane wewnątrz każdego domu. Wszystkie sanatorja, szpitale i pensjonaty służące do odpoczynku powinny znajdować się w okolicy pozbawionej hałasów i gwarnych przedsiębiorstw rozrywkowych. Przewidują konieczność budowania publicznych hal odpoczynkowych, które dawałyby gwarancję ciszy i spokoju, zaś przy nowych budowach domów i pracowni technicznych rozmaite urządzenia izolacyjne i przygłuszające wszelkie odgłosy.

Tak to za granicą ludzie fachowi troszczą się o usuwanie wszelkich szkodliwych czynników upośledzających zdrowie rasy ludzkiej, rujnujących organizm i umniejszających wartość społeczną poszczególnych jednostek. Problemem tym zajmują się nietylko czasopisma fachowe, ale i codzienne, pouczając i przestrzegając przed złem w popularnych artykułach.

Ostatnio przedostało się i do nas z prasy zagranicznej echo owych nawoływań, ku szczerej radości tych, którzy na łamach „Świata Kobiecego” już od kilku lat walczyli o kulturę spokojnego zachowania się i zachowywania względów wobec drugich.

Odkąd sprawą tą zajęli się przedstawiciele wiedzy, nie będzie można ludziom upominającym się o swe prawa rzucać bagatelizujących odpowiedzi o przewrażliwionym słuchu, o zdenerwowaniu, o nieuzasadnionych pretensjach. Wiemy już bowiem, że tu nie o jakieś grymasy, nie o przeczulenie chodzi, ale o najcenniejszą dla każdego człowieka rzecz: o zdrowie.

U nas w większości miast panują pod tym względem iście barbarzyńskie stosunki. W poszukiwaniu winowajców dochodzę do tego, że są ich dwie kategorje: przedewszystkiem władze, które niedość surowe rozporządzenia wydają, a jeśli nawet wydadzą je kiedy, nie kontrolują ich przestrzegania, nie karzą winnych, bo to taki drobiazg przecie... A druga kategorja winowajców, to społeczeństwo samo. Ileż my mamy osobników, w sferze t. zw. inteligentnej, niedyscyplinowanych, źle wychowanych, upartych, nie stosujących się do rozporządzeń, nie zważających na nic i na nikogo. Ile biur, w których strzelanie drzwiami jest na porządku dziennym, a przeznaczenie klamki czemś nieznanem. A ile zachodów i trudów mają panie domu z każdą nową służącą lub służącym, zanim ich przyuczą do cichego sprzątania, zamykania drzwi, stawiania sprzętów i spokojnego chodzenia.

Twierdzę stanowczo, że 99% hałasów przy wykonywaniu codziennych zajęć jest zupełnie zbyteczne.

Mam przyjemność mieszkania w kamienicy nowoczesnej, o pruskich ścianach i akustyce wymarzonej na przedstawienia teatralne i operowe. Za taką pruską ścianą ma swój lokal bank. Żaden urzędnik nie mówi normalnym głosem, żaden drzwi nie zamyka, a służba przy sprzątaniu wyprawia dzikie hałasy. W zimie zaś o szóstej rano pali w piecu w sposób przypominający bombardowanie miasta. Nade mną, na drugiem piętrze, lokatorka lubi późno kłaść się spać i codzień przesuwać w nocy meble, a także strzelać drzwiami i bawić się z psem rzucaniem kuli na podłogę, pozbawioną dywanu. Nocne te ceremonje odbywa z niezmienionym programem codziennie i bez względu na porę, chociażby nawet wróciła do domu o drugiej w nocy, co się zdarza nierzadko. Zaś zrana, około czwartej, wyruszają śmieciarki miejskie i pachoły magistrackie z wózkami chroboczącemi przerażająco żelaziwem, przesuwają się z hukiem wozy ciężarowe wstrząsając szybami okien w wąskich ulicach. Pachoły zachowują się swobodnie, nawołują się jowialnie, trzaskają wiekami wózków, a około piątej ucinają serdeczne pogwarki z dozorcami domów. Jeśliby zaś człowiek w ciągu dnia schronił się z frontowego do pokoju od podwórza, ma tam dla urozmaicenia pracowitego ślusarza i wytwórnię trykotaży, nie uznającą ani świąt, ani niedziel, ani ośmiogodzinnego dnia pracy. Zatem śniadania, obiady i t. p. jada się przy akompanjamencie odgłosów kuźni, furkotu maszyn i trudno nieraz porozumieć się przy stole. Mieszkanie jest przy jednej z głównych ulic, a właściciel nazywa je „komfortowem”.

Niema w tym opisie ani cienia przesady, a nawet przeciwnie, z braku miejsca mnóstwo szczegółów opuścić trzeba, jak chociażby np. różne dobrodziejstwa wynalazków, koncerty radjowe u sąsiadów, gramofony, lekcje gry na fortepianie, spuszczanie i podnoszenie wewnątrz domu rolet żelaznych bankowego lokalu z odgłosem grzmotów i piorunów — i takby można litanję podobnych wykroczeń ciągnąć w nieskończoność.

Jakże w takich warunkach zachować w ciągu dnia świeżość umysłu i siły niezbędne do zawodowej pracy. W nocy sen stale przerywany, we dnie nerwy wstrząsane barbarzyńskiemi hałasami, a rezultat takiego trybu życia niedługo daje na siebie czekać. Chroniczne znużenie — o którem wiemy jakie zjadliwe trucizny wytwarza w organizmie — pokonywane wysiłkiem woli i nerwów, czasem czarną kawą lub inną podnietą a wkońcu, gdy i te środki odmówią posłuszeństwa, ogólne wyczerpanie, zanik sił fizycznych, upośledzenie władz umysłowych, przedwczesna starość. A wszystko to z powodu braku dyscypliny społecznej i rozsądnego wychowania jednostek.

Sfery rządzące poszczególnych miast muszą zająć się tą sprawą energicznie i obwarować spokój swych mieszkańców odpowiedniemi rozporządzeniami a nieposłusznych ścigać nietylko grzywnemi pieniężnemi, lecz w przypadku recydywy aresztem bez zamiany na grzywnę. Brak dobrego wychowania musi zastąpić posłuch dla rozporządzeń, brak posłuchu wyplenią surowe kary. Ktoś, na kim grzywna nie zrobi wrażenia, opamięta się w areszcie. Trzeba i tu liczyć się z indywidualnością jednostek. Władze, które nie skąpią poparcia Towarzystwom Ochrony Zwierząt, może zechcą poprzeć usiłowania Samoochrony Pracowników Umysłowych.

Sanacja tych półdzikich stosunków postąpiłaby wszakże znacznie szybciej, gdyby zechciały w tem współdziałać kobiety i świat pedagogiczny. Kobiety, nietylko w obrębie swych ognisk domowych, ale i jako pracownice społeczne, lekarki, higjenistki, posłanki i t. p. Sfery pedagogiczne zaś przez wprowadzenie do programu nauki szkolnej jako przedmiotu obowiązkowego: sztuki kulturalnego współżycia z ludźmi, uszanowania w człowieku człowieka.

OBSERWATOR

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

ZIMOWE SPORTY

Może nigdzie tak wybitnie jak w sporcie nie zaznacza się potrzeba celowości w ubraniu, w jego kroju, wykończeniu i materjale.

Przy każdem innem ubraniu można sobie pozwolić na rozmaite niekoniecznie potrzebne szczególiki i fantazje, ale przy sportowem jest to zupełnie niemożliwe i wyłączone. Tu mamy wymagania jasno określone i nieodwołalne, zwłaszcza zaś gdy chodzi o zimę, o zabezpieczenie przed wiatrem, mrozem, przed przedostaniem się śniegu pod ubranie.

W zimowych sportach narciarstwo bije wszystkie inne, prawdopodobnie ze względu na największe możliwości owładnięcia przestrzenią. Potem idzie turystyka, saneczki, ślizgawka.

Ale wszędzie najważniejszym szczegółem kostjumu odpowiednie obuwie, gdyż od niego zależy swoboda ruchów, bez której żaden sport nie da się pomyśleć.

Wzorowy model obuwia narciarskiego wykonany jest z jednego kawałka skóry, bez żadnych kapek lub ozdób, szeroki w palcach, wygodny. Z żółtej lub czarnej skóry, z charakterystyczną podwójną podeszwą i z rowkiem na rzemyk na obcasie.

Obuwie turystyczne musi być nieprzemakalne, zprzodu uszczelnione na stałe t. zw. języczkiem przyszytym po obu brzegach sznurowania, pod którem gładko się układa.

Obuwie do saneczek i do ślizgawki przypomina wysokie sznurowane modele; prócz tego obuwie do ślizgawki powinno idealnie obejmować nogę w kostce, a łyżwy muszą być silnie przyśrubowane do podeszwy, gdyż tylko w takich warunkach zapewnione być może bezpieczeństwo w biegu (rys 5).

Dla widzów, nie biorących udziału w zawodach, przyjęte zostały ciepłe filcowe śniegowce, od wewnątrz wyłożone futrem i zapięte patentowym zameczkiem (rys. 8). Poważny ich wygląd zewnętrzny nie przypomina w niczem fantazyjnych śniegowczyków damskich, które na miejskim bruku robią nieraz zabawne wrażenie.

Norweski kostjum narciarski uważany jest za najpraktyczniejszy, najwytworniejszy i we wszystkich szczegółach najlepiej odpowiadający celowi. Wszystkie inne kombinacje modeli usunęły się w cień, a za to norweski poczynił małe ustępstwa na rzecz mody. Na podanych rysunkach: 1, 2, 3 mamy do wyboru trzy piękne odmiany norweskiego kostjumu.

Niezbędnem uzupełnieniem kostjumu narciarskiego jest szal, który różni się od miejskiego pod wieloma względami. Celem jego jest ochrona szyi przed mroźnym wichrem górskim, podczas gdy zadaniem miejskiego jest zabezpieczenie kołnierzyka, krawata i przodu koszuli przed zbrukaniem się w zetknięciu z ciemnem okryciem. Dlatego materjałem na szal sportowy nie może być jedwab, lecz czysta wełna w najlepszym gatunku. Moda krzykliwych barw i długich końców szala powiewających na wietrze już przeminęła. U prawdziwie eleganckich mężczyzn nie miała zresztą nigdy powodzenia. Stosując się do granatowych i bronzowych materjałów kostjumów norweskich pojawiły się szale przeważnie w tych barwach; pozatem mile widziany jest spokojny wiśniowy szal. Owinięty podwójnie dokoła szyi, czasem ściągnięty pierścieniem i schowany pod bluzą lub kaftanem.

Dok. art. na str. 468



6



4



5



1 2 3



7 8

PLOTECZKI O MODZIE

Równy obwód dołem — *obowiązuje przy wszystkich sukniach na ulicę*, bez względu na to, czy to będą modele codzienne „do wszystkiego”, czy popołudniowo-wizytowe. Te ostatnie, o ile są wydłużone wtyle, z jednego lub z obu boków, rażą na ulicy a nawet śmiesznie wyglądają i nie nadają się do pieszej przechadzki. Moda liczy się z tem widocznie, że mało jest wybranek fortuny posiadających auta i dlatego 99% sukien popołudniowych ma równy obwód.

Kostjum tailleur — bywa często uzupełniony płaszczem. Zapewne w przewidywaniu srogiej zimy.

Kołnierze okryć — przybierają coraz to fantazyjniejszy krój. Czy to z materjału, czy z futra widzimy je wiązane jak krawat, albo jak szarfę z przerzucanemi końcami do tyłu i do przodu.

Stan w sukniach — zaznaczają często zakładeczki lub marszczenia wpoprzek, zwłaszcza przy modelach princesses lub półprzylegających a nieznacznie zbluzowanych. Daje to ciekawe efekty i wykańcza toaletę bardzo wytwornie.

Beige z zielonym — oto najmodniejsze połączenie. Suknie i płaszcze beige są aplikowane jasno- lub ciemno-zielonym kolorem. Pozatem na rewjach mody zimowej ukazało się dużo modeli jednolicie zielonych, przeważnie w odcieniu butelkowym.

Bois de rose — wraca do mody w tym sezonie na użytek sukien dziennych, w połączeniu z płaszczem koloru kasztanowego.

Futra jako przybranie sukien — bądź to dołem w obwodzie, bądź jako wykończenie bocznych oddzielnych części i rękawów, lub wreszcie jako obramowanie szalików i szalów.

Stebny — są ostatnim krzykiem mody. Na materjałach jedwabnych, wełnianych, na aksamicie stanowią same dla siebie przybranie. Przedewszystkiem na płaszczach nietylko dołem jako szeroki szlak, lecz nawet modele jedwabne princesses i redingotes będą w całości wystebnowane.

Rozmieszczenie fałdów, draperyj i wolantów — zależy od rodzaju sukni. Codzienne modele i kostjumy tailleur mają przeważnie tył gładki, a grupa fałdów, wolancik lub godeciki są zprzodu. Natomiast przy sukniach strojnych wieczorowych przerzuca się wszelkie draperje, kokardy, związania i t. zw. *poufs* ku tyłowi. I to przeważnie od linji stanu i bioder począwszy.

Kolor pantofelków — zupełnie odmienny od koloru toalety, zdobył największe powodzenie. Zaczęło się to już w ubiegłym sezonie czarnemi jedwabnemi pantofelkami, które można było włożyć do każdej toalety. Obecnie mamy — prócz czarnych — różnokolorowe modele, zdobione złotą skórką i nieraz tak luksusowe, że aż wstyd byłoby je opisywać, wobec haseł oszczędności i ogólno-ludzkiej nędzy.

Obcasy pantofelków wieczorowych — nie muszą być wyłącznie wysokie i cieniutkie. Nie, moda pozwala na słupkowe, półwysokie. Co za odstępstwo — i jakie mądre!

Najnowszy kaprys mody wieczorowej — zwraca się ku kolorom półżałoby. Jest to szczyt szyku obecnie ukazać się w toalecie fiołkowej w odcieniu „dalja”, w czarnej z białym lub popielatym, w czarnej z biżuterją lśniącą i połyskliwą, wreszcie w najciemniejszym tonie koloru brunatnego t. zw. *tête de nègre*. Kaprys ten nie wyłącza jednakowoż kolorów jasnych, przeciwnie, będziemy ich miały wbród, ale moda co sezonu musi mieć swoich specjalnych faworytów w gamie barw, któremi przemysł tekstylny rozporządza. Zatem owe najmodniejsze niechaj noszą tylko te panie, którym w nich dobrze, a reszta niech dobiera indywidualnie i nie oszpeca się „modnym” kolorem.

Biżuterja fantazyjna — święci dalej nieograniczone triumfy. Znikło wyrażenie „fałszywa”, zastąpione interesującem słówkiem: fantazyjna. Naszyjniki ze strasu w połączeniu z kolorowemi kamieniami i perłami, takież bransolety, dają pole do popisu pomysłowości, wspartej wyszukanym smakiem. Damy paryskiego towarzystwa łączą się w grupę złożoną z kilku znajomych i angażują jako stałą siłę specjalistkę do kom-


1


2


3


4

1. — Suknia popołudniowo-wizytowa z czarnego jedwabiu. Spódniczka kloszowa, stanik przybrany oryginalnem marszczeniem przytrzymanem guziczkami ze strasu lub z opalizujących kamieni i zakończony kokardą. Motyw marszczenia powtarza się na rękawach; guziczki także.

2. — Płaszcz do kompletu obok.

3. — Komplet popołudniowy. Płaszcz o prostej linji, z miękkiej wełny beige, cały na watalinie podszyty jedwabiem do tonu. Szlak z zakładeczek u zakończenia rękawów i dołem u płaszcza. Suknia z etaminy wełnianej lub z krepy chińskiej. Spódniczka plisowana. Modny obecnie długi kazaczek przybrany na biodrach grupami zakładek.

4. — Kostjum popołudniowy z dywetyny srebrzysto-popielatej, przybrany futerkiem do tonu. Zamiast kołnierza szalik futrzany związany wtyle. Żakiecik z baskinką asymetryczną, spódniczka kloszowa. Jumperek z lamy mieniącej, bez rękawów. Kostjum służyć może na herbatki popołudniowe i wieczorem na zebrania w lokalach publicznych.

ponowania biżuterji dobranej ściśle do koloru i rodzaju toalety. Powstała w ten sposób nowa odmiana specjalistek, które muszą łączyć zgrabność paluszków ze znajomością harmonji barw i umiarkowaniem estetycznem. Polki takiej obcej pomocy nie potrzebują; każda z nas potrafi dobrać sama odpowiednie kamienie i korale i w wolnej chwili nanizać na mocną jedwabną nitkę piękny sznur na szyję. Mamy tyle magazynów z modnym i tanim towarem, że przy odrobinie wiary w własne siły zrobimy konkurencję zagranicznym wytworom.

Popołudniowe torebki — w kształcie kwadratowym, z jedwabiu pikowanego, dobranego do koloru sukni, z zapięciem pokrytem jedwabiem, będą noszone do sukien nietylko jedwabnych lecz i wełnianych.

Moda fichu — minęła; teraz nosimy podwójny, wąski pas z crêpe satin lub chińskiej krepy, aplikowany na końcach skośnemi czworobokami lub trójkątami w kilku żywych kolorach.

Wachlarze — coraz częściej używane, podlegają rozmaitym innowacjom. Ostatnio, natchnieniem do nowej zmiany było zetknięcie się z Hiszpanją podczas wystaw w Sewilli i Barcelonie, gdzie Andaluzyjki budziły zachwyt wachlarzami o barwnych motywach kwiatowych. Obecnie zaleca więc moda do powiewnych sukien w kwiaty, takie same motywy kwiatowe na wachlarzu, albo z tego samego muślinu, gazy lub żorżety.

Uzupełnieniem dżemprów i garsonek trykotowych — są małe trójkątne chusteczki z włóczki w takich samych kolorach; zatem np. brunatna chusteczka, obdziergana beige. Wiąże się ją na karku, tak, że trójkącik zasłania wycięcie zprzodu.

Suknie codzienne i sportowe — zdobią futra płaskie, strzyżone, a najczęściej perskie baranki w niezliczonych odcieniach brunatnych i beige.

Płaszcze podróżne i sportowe — mają kieszenie od wewnątrz i są podszyte krótkowłosem futerkiem, a często zaopatrzone ciepłą kamizelką, stanowiącą całość z płaszczem.

Okrycia codzienne — są często wykonywane z takich materjałów i w ten sposób, żeby je można nosić na obie strony.

Wycięcia u szyi i zakończenia rękawów — są nader starannie przyozdabiane.

Spódniczki — noszone po wierzchu bluzek i dżemprów, są wykończone stale przyszytym paskiem.

Czarne sukienko — pikowane białym stebnem jest uroczym pomysłem.

Jersey - cachemire — cienki i leciutki jak puch jest nowością na jumpry noszone do spódniczek po wierzchu.

Staniki — mają zapięcia na guziczki z drzewa, z dziureczkami wykończonemi wypustkami, które same dla siebie stanowią przybranie.

Króciutkie pelerynki — urozmaicają płaszcze princesses, utrzymane w charakterze tailleur.

Kostjumy tailleur z aksamitu — wymagają oryginalnych i strojnych bluzek. Są one proste w linji, ale za to bez rękawów i wykonane z najpiękniejszych gatunków lamy. W ten sposób zastąpić mogą wieczorem, zwłaszcza w lokalach publicznych, strojniejszą toaletę.

Pyżama — przybiera coraz gwałtowniej formę strojną, fantastyczną i zdobi się po kobiecemu. Pierwotny, surowy jej krój męski zniknął z widowni. Koronki, aplikacje, kokardy, hafty, pasy bajadery, bolerka, obcisłe staniczki z dekoltażami — oto jej ostatnie zdobycze. Długie kaftany, draperje z tiulu i przejrzystych materjałów woalują lekko spodnie i nadają wschodni charakter tym nowym modelom, nazwanym „robes de studio".

CAILLER - SOBAŃSKA


5


6


7


8

5. — Suknia wizytowo-popołudniowa. Jumper biały, ozdobiony aplikacją z jedwabiu spódniczki, która ma krój kloszowy, z jednym kloszem wydłużonym zprzodu i podszytym jedwabiem białym. Spódniczka może być w kolorze czarnym, orzechowym, fiołkowym. Kapeluszyk z materjału spódniczki.

6. — Suknia popołudniowo - wizytowa z żorżety koralowej przybrana zakładeczkami i żabotem z materjału z prawego boku. Kołnierz i żabocik u wycięcia z koronki żółtawej lub szarej. Krój princesse, lekko zbluzowany.

7. — Suknia popołudniowo - wizytowa z żorżety granatowej. Dół spódniczki, wolantu i kołnierza-pelerynki wykończony taftą wycinaną w ażurowy wzór. Przy wycięciu i rękawach biała żorżeta.

8. — Suknia popołudniowo - wizytowa. Model princesse, w pasie lekko zbluzowany. Tył gładki, zacięcia zprzodu wystebnowane, kloszyki nieznacznie wydłużone. Zamiast kołnierzyka wąski szaliczek z żorżety, w kolorze białym, lub wogóle jakimś jasnym stonowanym z toaletą.

MODELE MÓD

KOSTJUMY



980 981 982 983

980 Kostjum popołudniowy z dywetyny wiśniowej. Żakiet ozdobiony plisami i przybrany puszystem futrem; obwód wydłużony do tyłu. Oryginalna spódniczka w kontrafałdy i klosze.
981 Kostjum popołudniowy z czarnego aksamitu, bogato przybrany jasno-bronzowem futrem.
982 Kostjum codzienny z materjału angielskiego; brzegi odstebnowane, oryginalny kołnierz futrzany wydłużony w krawat.
983 Kostjum z homespunu w odcieniach bronzowych. Na szyi lis.
984 Komplet podróżny. Kostjum w stylu sportowym, ozdobiony stebnami. Płaszcz szeroki, z fałdami wtyle, z grubej włochatej wełny.
985 Komplet praktyczny codzienny. Bluzka jedwabna, kamizelka z sukna na warstwie wataliny, płaszcz z wełny ciepłej lekko wzorzystej, futerko fantazyjne.
986 Komplet popołudniowy. Płaszcz z ciemno-bronzowego aksamitu do połowy na watalinie, podszyty jedwabiem do tonu sukni; kołnierz z perskich baranków. Suknia z krepy chińskiej dołem kloszowa, w okolicy bioder zakładeczki.

WYROBY KRAJOWE!



984 985 986 987

987 Komplet dla młodych dziewcząt. Wytworna garsonka przybrana sutaszem jedwabnym z kutasikami. Angielski płaszczyk wykończony wypustkami z baranków.

988 Praktyczny płaszcz z grubej kashy w dyskretny deseń. Zapięcie dwurzędowe, plisy i stebny. Kołnierz i mankiety z puszystego futra.

989 Płaszcz na codzień z angielskiej wełny w odcieniach popielatych, przybranie z popielatego baranka.

990 Płaszcz popołudniowy z czarnego aksamitu. Kołnierz z futerka w kolorze sarnim, związany jak krawat. Zamiast mankietów pasma futra.

991 Płaszcz popołudniowy z dywetyny lub z grubego rypsu jedwabnego, cały na watalinie, oryginalnie aplikowany na biodrach. Kołnierz i mankiety z lisa, do którego koloru dobrana podszewka.

WYROBY KRAJOWE!

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Dok. art. ze str. 464

Oprócz szalów w jednym kolorze i jego odcieniach ukazały się modele z kolorowemi szlakami, utrzymanemi w tonach pastelowych. Jednakowoż bezsprzecznie najdystyngowaniej wygląda piaskowy szal z sierści wielbłądziej.

Rękawice są dwojakiego typu. Długie, włóczkowe, robione na drutach, wykończone kolorowym szlakiem, t. zw. amerykańskie (rys. 4), albo ze skóry, z mankie-



tami, ściągnięte rzemykiem po wewnętrznej stronie dłoni. Zaopatrzone ciepłą podszewką a na grzbiecie dłoni obszyte futrem (rys. 7).

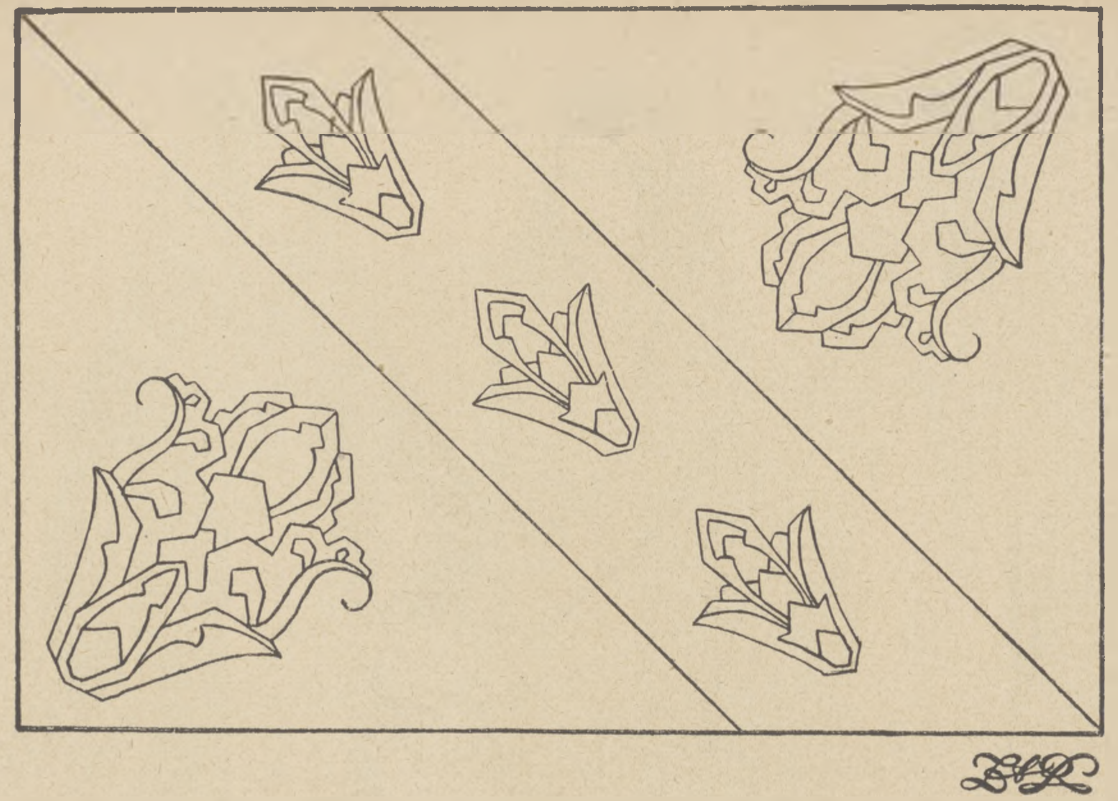
Sportowy i turystyczny komplet składa się z bluzy krojem Norfolk, fałdzistych spodni poza kolana zachodzących (plusfours) i kurtki z tego samego materjału, podszytej futrem, a długości trzy czwarte.

Nowością w bieżącym sezonie jest ubranie sportowe, którego bluza nie posiada ani kołnierza, ani wyłogów (rys. 6). Model zaprojektowany w Londynie i nazwany Windbreaker.

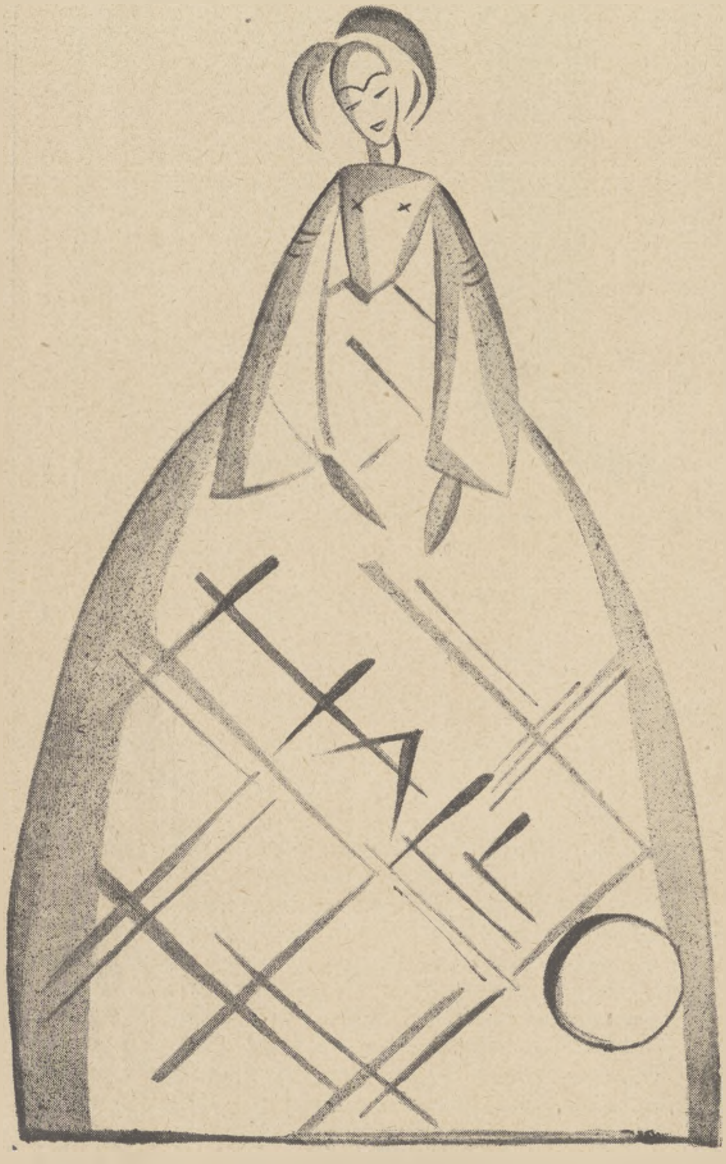
Do sportu saneczkowego, do wysokiego obuwia, uważane są breeches za odpowiedniejsze spodnie od fałdzistych. Pullover, długie włóczkowe rękawiczki i włóczkowa czapka uzupełniają strój.

Kto wybiera się w góry na wycieczki, musi być przygotowany nietylko na same rozkosze sportowe, ale i na różne małe niedole, jak np. doszczętne przemoczenie obuwia. Otóż, choć to łatwo radzić a wykonać nieraz znacznie trudniej, dobrze jest wziąć ze sobą coś do przebrania. Jakąś rezerwę pod postacią drugiej pary obuwia, może już nieco przenoszonego, ale przecież zawsze lepszego od przemoczonej pary, jakiegoś ubrania sportowego lub chociażby tylko pullovera. W zgrabnie upakowanym plecaku zmieści się nadspodziewanie dużo, a potem, w chwili kłopotliwej, co za ulga i pomoc.

GENTLEMAN



Rys. 238



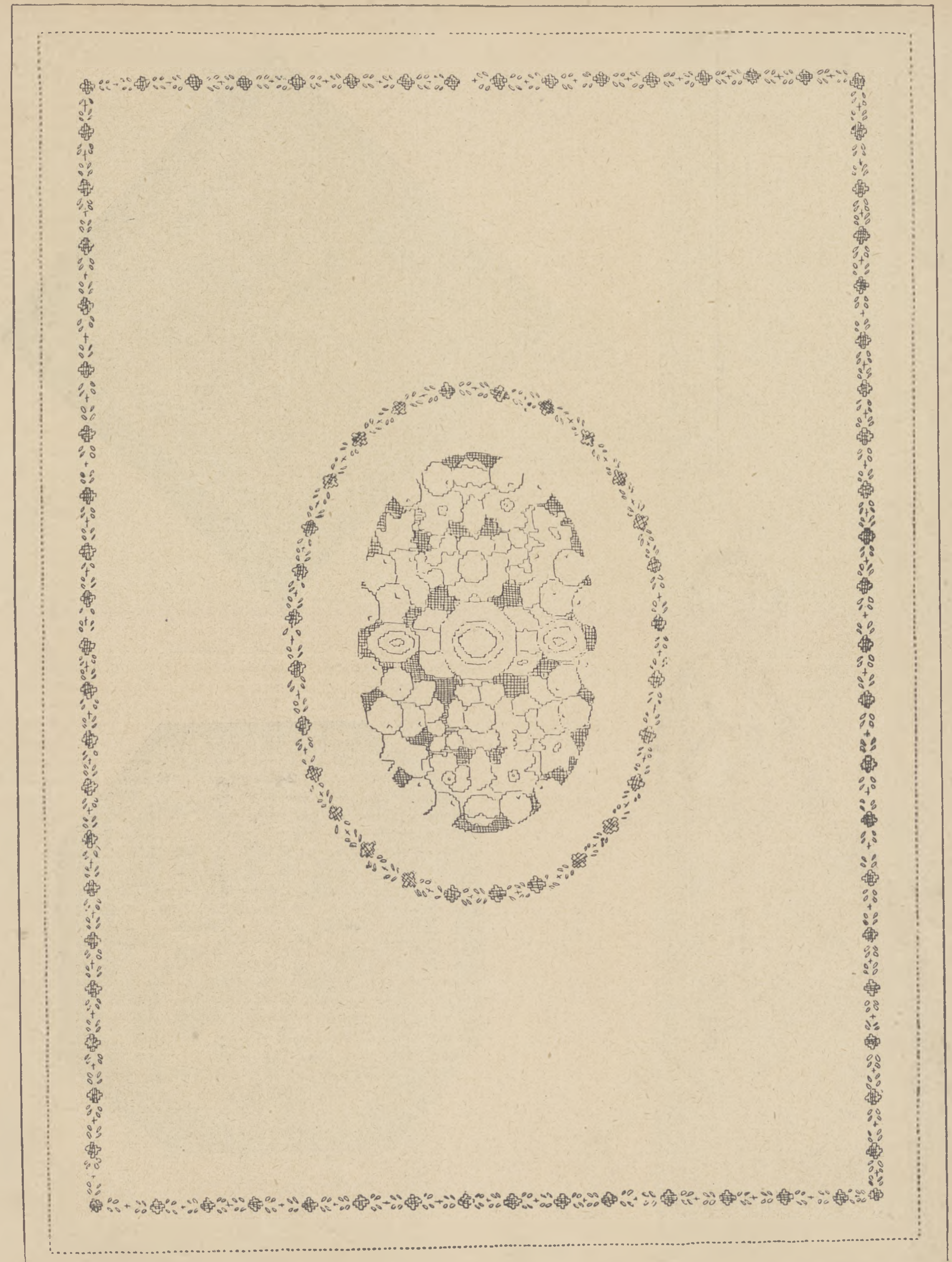
Rys. 239

Rys. 238. — PODUSZKA APLIKOWANA. — Wymiary: 42×63 (stosunek boków 2:3). Motyw główny: głowa byka przestylizowana na kwiat. Wykonanie: aplikacja. Barwy: tło rogów ceglasto-bronzowe, tło pasa skośnego fioletowe. Zestawienie barw aplikowanych podane na wzorze naturalnej wielkości, dostarczanym na zamówienie. Wielką rolę gra tutaj jednak właściwe dobranie odcieni. Uważać więc należy, by: 1. barwy ciepłe, a więc złotawa jasna, piaskowo-żółta, cynober średni i ciemny ponceau stanowiły wybitną gradację i żeby kolor 4-ty nie był silniejszy od 3-go niż 3-ci od 2-go, lub 2-gi od 1-go; 2. barwy zimne stanowią łagodniejsze przejście, jednakże: kanarkowo-zielona powinna wyraźnie odcinać się od obu żółtych, zielona druga, stępiona lekkim odcieniem niebieskawym występuje wybitnie zarówno w sąsiedztwie poprzedniej jak i jasnego kobaltu, nie może jednak stanowić zbyt ostrego kontrastu z ponsowym i dlatego wymagany tu jest pewien odcień niebieskiego; fiołkowa zaś powinna być znacznie jaśniejsza od fioletowego tła pasa, by w sąsiedztwo jasnej zieleni i błękitu wnosić ożywienie, a nie smutek. Jeśli poduszka ta ma być szczególnie efektowna, wówczas użyjemy na pas skośny velour chiffon fioletowy o złotawym możliwie połysku i aplikujemy suknem, którego zamszowy mat bardzo ładnie będzie wyglądał na lśniącym aksamicie. Na tło obu rogów użyjemy wówczas lamy alt-gold, której większe nawet kawałki niejedna z Pań znajdzie u siebie jako pozostałości po wieczorowej toalecie. Kolor musi być „przepalony", lub miedziany, dlatego odpowiednia tu będzie nawet sczerniała lama. Aplikujemy jednak jedwabiem. Poduszka wykończona sznurem jedwabnym w złotawym kolorze.

Projektował Zbigniew Radwański

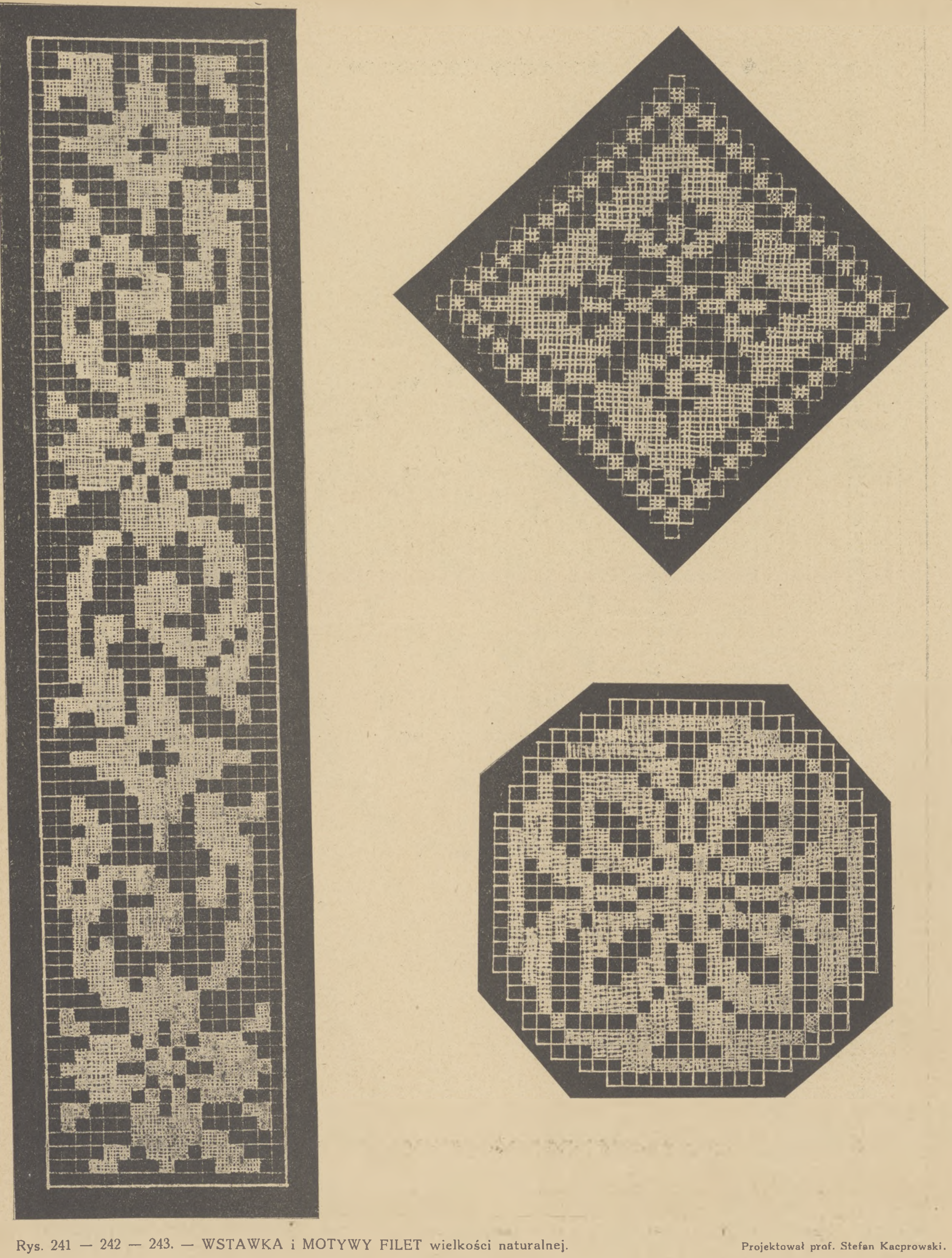
Rys. 239. — LALKA NA TELEFON. — Głowa, tułów i ręce wypchane, pokryte cienką irchą. Szyję, tułów i ręce można też łączyć z odpowiednich koralików. Włosy z zielonej włóczki, suknia z jedwabiu wzorzystego. Napis wykonany zielonym tuszem.

Projektowała I. H.

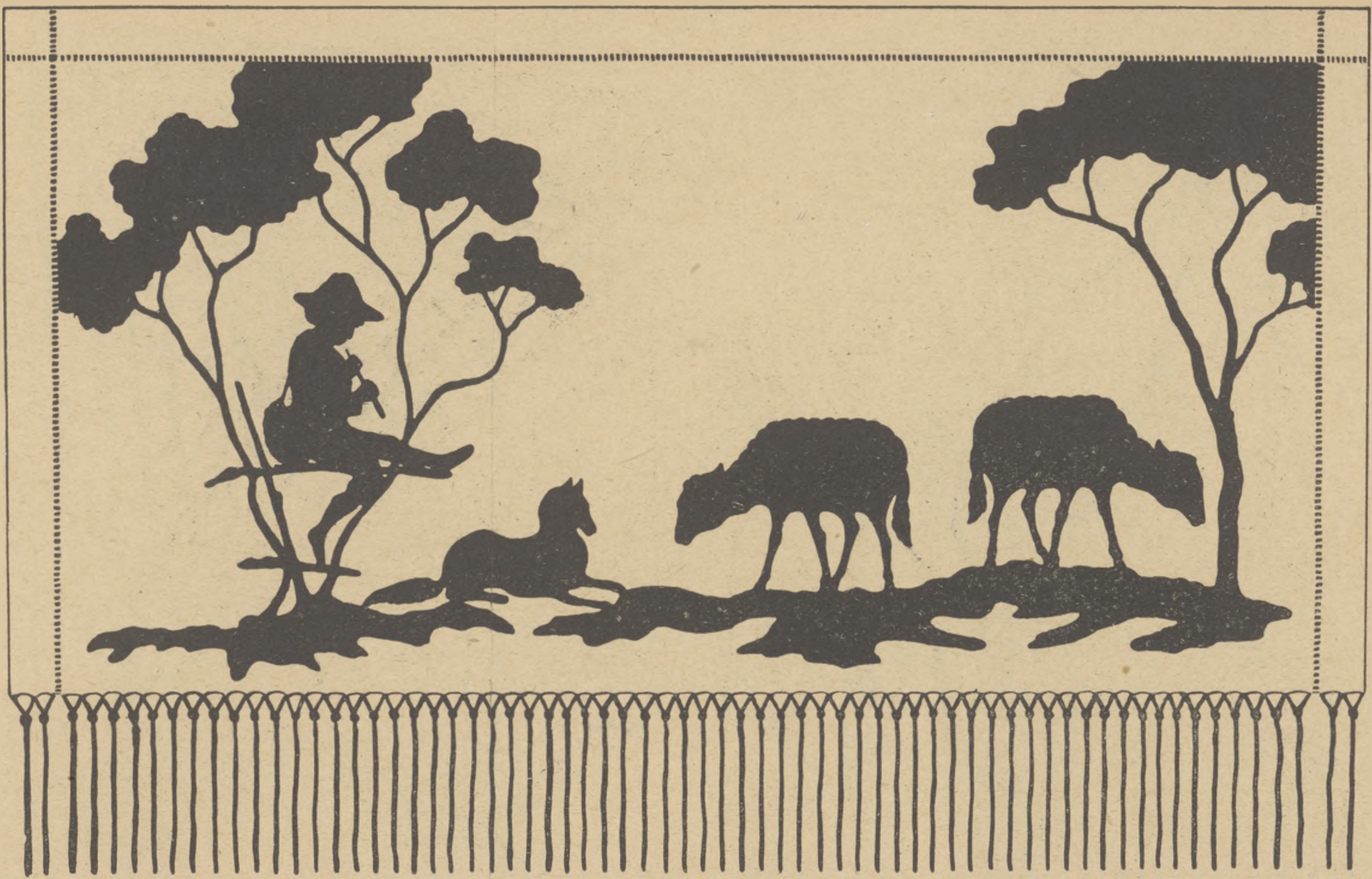


Rys. 240. — OBRUS Z PŁÓTNA LNIANEGO, ozdobiony następującemi ściegami: toledo, haft ażurowy, haft płaski i dziureczki. Naokoło mereżka.

Projektowała Jadwiga Skalecka.



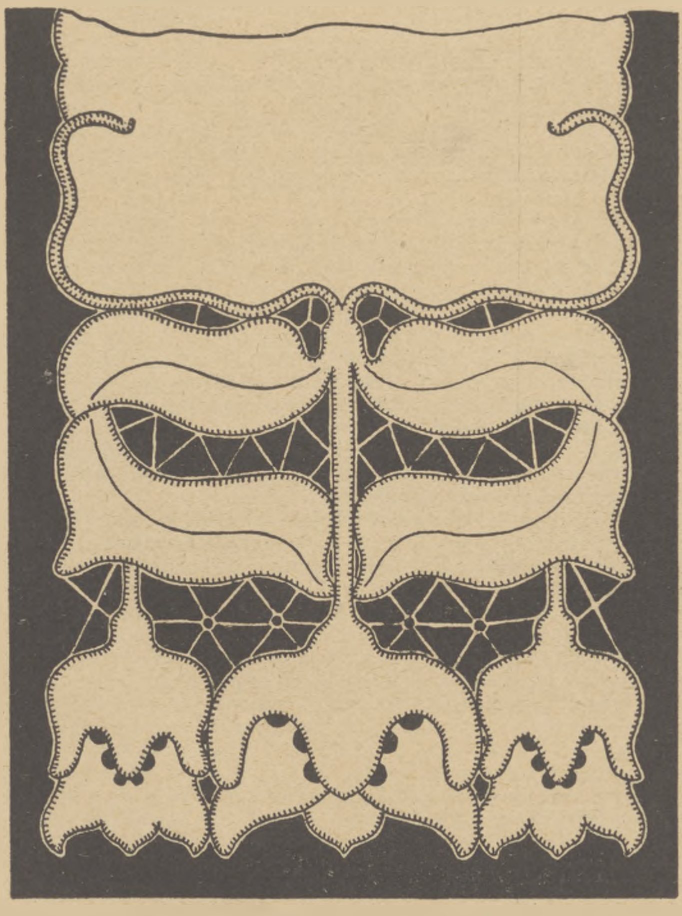
Rys. 241 — 242 — 243. — WSTAWKA i MOTYWY FILET wielkości naturalnej. Projektował prof. Stefan Kacprowski.



Rys. 244

Rys. 244. — MAKATA Z SZAREGO PŁÓTNA, o wymiarach 150×75 cm, ozdobiona aplikacją z czarnego sukienka. Trzy brzegi wykończone mereżką (5 cm od brzegu), czwarty frendzlami. Długość frendzli po wyciągnięciu i powiązaniu powinna wynosić 25 cm.

Projektował Józef Babiak.



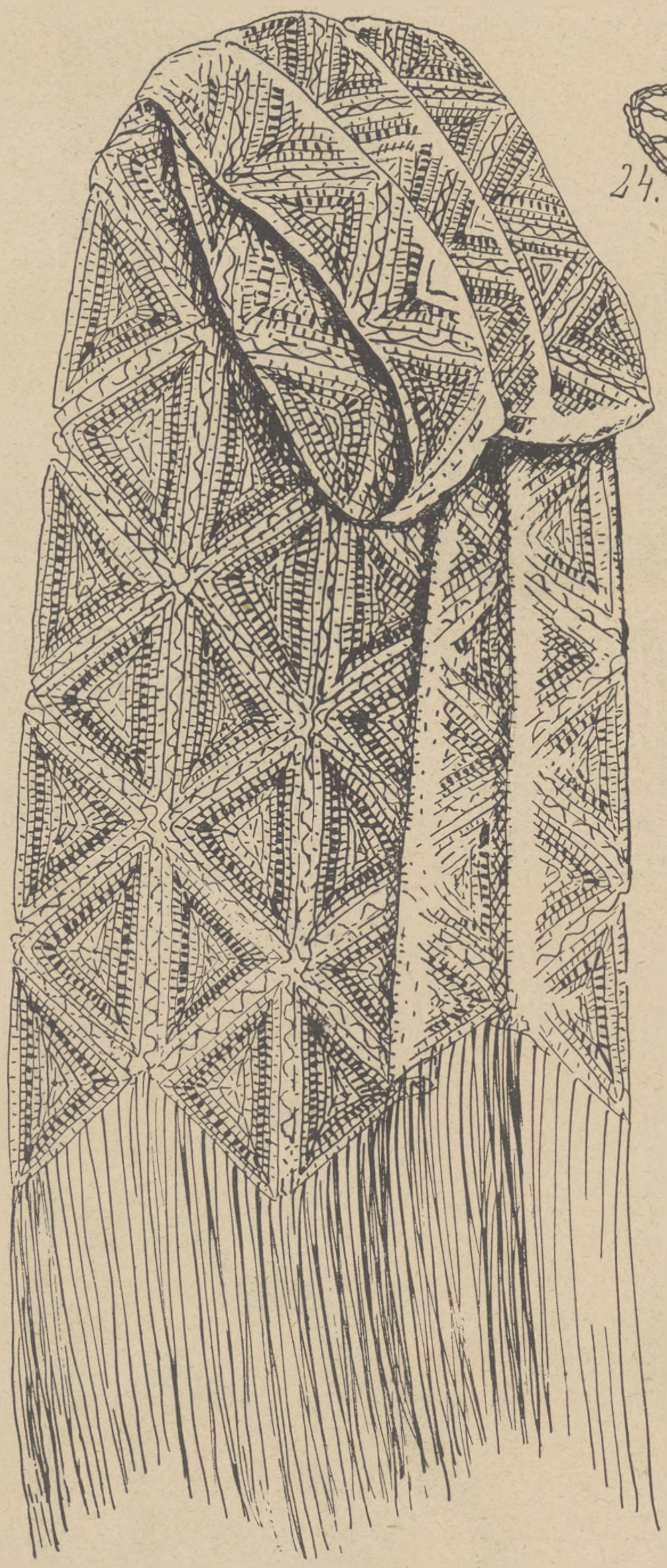
Rys. 245

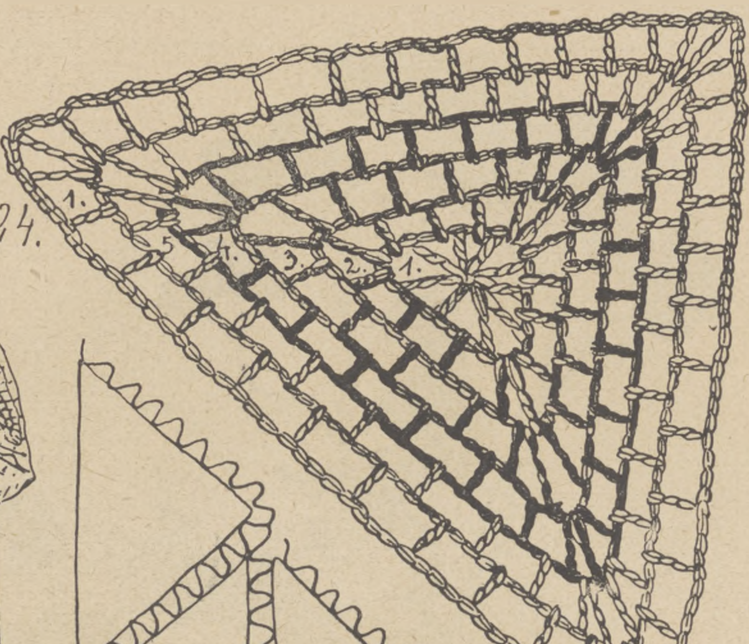


Rys. 246

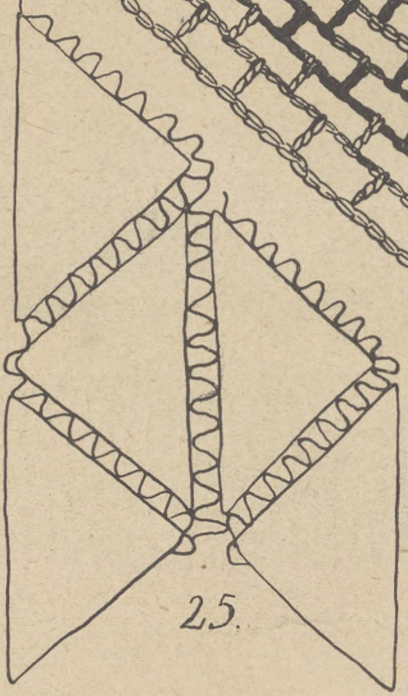
Rys. 245 i 246. — Opis i wzory naturalnej wielkości na Dodatku dołączonym do niniejszego numeru.

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO





24.



25.



26.

SZAL ZŁOŻONY Z TRÓJKĄTÓW

Oryginalny ten szal, jakkolwiek niezwykle efektowny, jest bardzo łatwy do wykonania. Składa się cały z trójkątów, wyszydełkowanych w 5 kolorach. Każdy rząd robi się innym kolorem, tylko dwa powtarzają się dwukrotnie.

Trójkąt rozpoczyna się kółkiem z 8 oczek w powietrzu, z cienkiej włóczki zefirowej. 1 rząd: 6 oczek w powietrzu, 7 słupków raz nawijanych, przegrodzonych 3 oczkami w powietrzu, 3 o. w p., zamknąć rząd w trzeciem oczku początku, urwać.

2 rząd: wziąć inny kolor, do jednego otworu pierwszego rzędu, utworzonego przez 3 o. w p., zrobić 1 słupek, 1 sł. 2 razy nawijany, 1 słupek, 3 o. w p., 1 słupek do następnego otworu, 3 o. w p., 1 słupek do następnego, 3 o. w p., powtórzyć jeszcze 2 razy od początku, zamknąć rząd, czepiając do pierwszego słupka; urwać.

3 rząd: inny kolor, na rogu, do otworu przed słupkiem 2 razy nawijanym 1 słupek raz nawijany, 3 o. w p., 1 sł. 2 razy nawijany, 3 o. w p., 1 sł. 2 razy nawijany, 3 o. w p., 1 sł. raz nawijany, 3 o. w p., 4 słupki przegrodzone 3 o. w p. do następnych otworów, powtórzyć jeszcze 2 razy, zamknąć rząd jak poprzedni.

4 rząd: na rogu do otworu między 2 słupki 2 razy nawijane nowym kolorem 1 słupek, 3 o. w p., 1 sł. 2 razy nawijany, 3 o. w p., 1 słupek, 3 o. w p., 6 słupków przegrodzonych 3 o. w p. po 1 do każdego następnego otworu, powtórzyć jeszcze 2 razy od początku rzędu, zamknąć rząd, urwać.

5 rząd: na rogach jak trzeci, do 7 razy po 1 słupku, przegrodzonym od następnego przez 3 o. w p. do każdego otworu poprzedniego rzędu, zamknąć, urwać.

6 rząd: inny kolor, na rogach jak czwarty, na bokach po 10 słupków, przegrodzonych 3 o. w p., zamknąć, urwać.

Rysunek 24 uwidocznia najdokładniej wykonanie wszystkich rzędów. Liczby naznaczają kolory, które można dowolnie wybrać. Na podanym modelu 1 oznacza kolor beige, 2 różowy, 3 bladozielony, 4 liljowy, 5 ciemniejszy zielony.

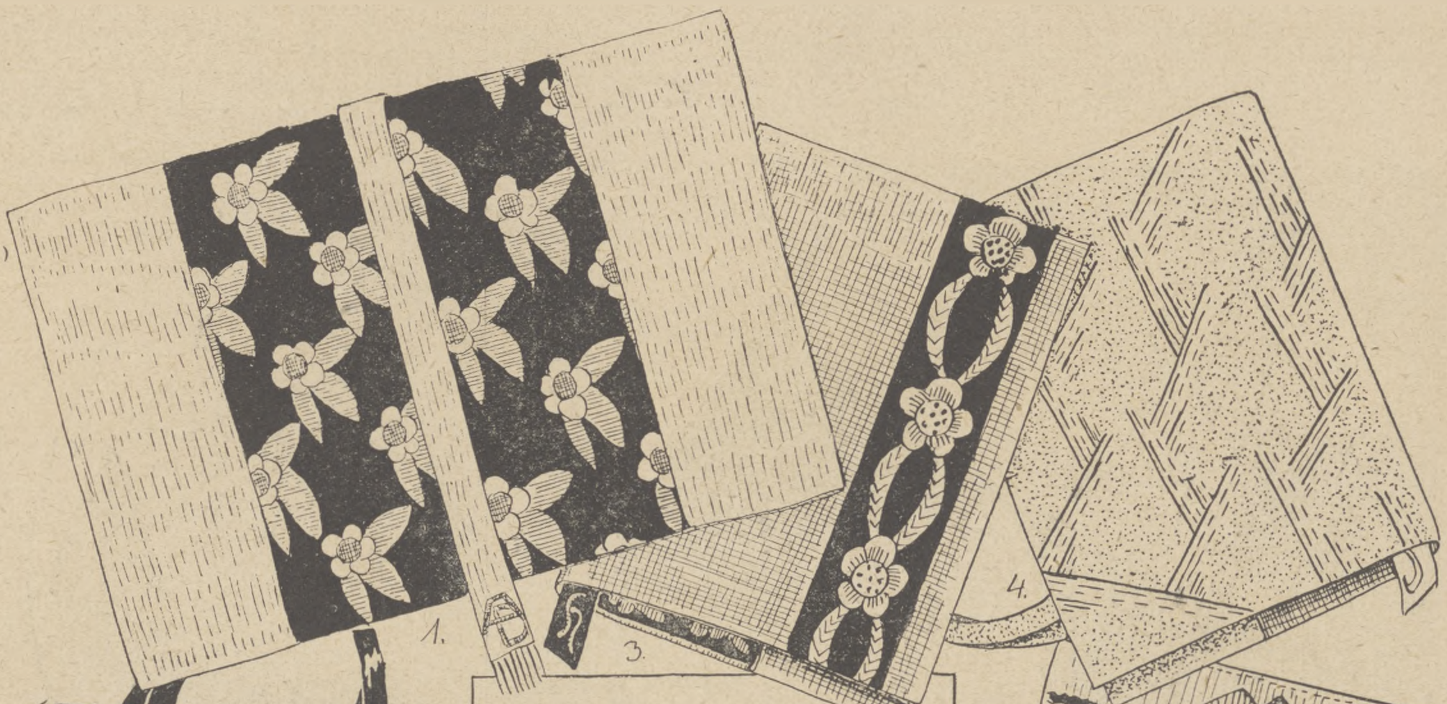
Bardzo dobrze wyglądają następujące zestawienia: beige, koralowy, bronzowy, zielony, drugi odcień bronzowego, albo: terrakotta, beige, 2 odcienie pawiowego, zielony. Inne zestawienie: 2 odcienie popielatego, niebieskie, cytrynowe, pomarańczowe.

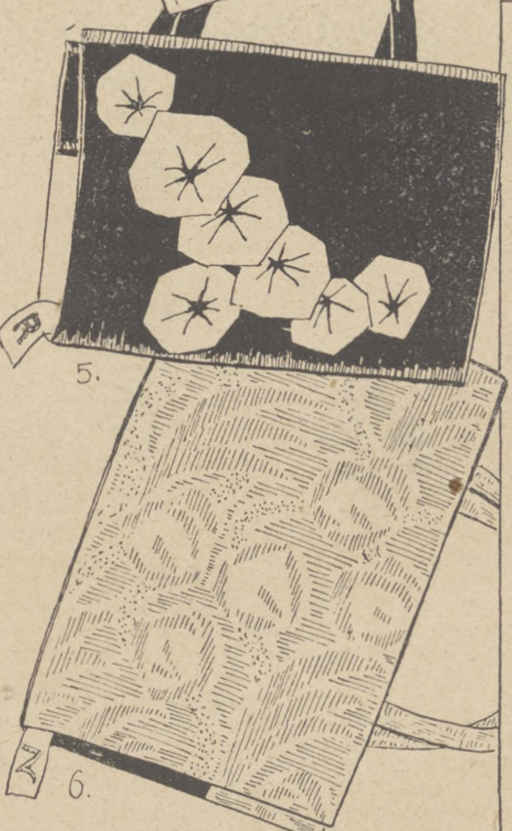
Na bardzo dostatni szal potrzeba 108 trójkątów. Łączy się je pasami wzdłuż, ob. rys. 25, robiąc po 5 o. w p. i 1 ścisłe oczko do otworu na rogu jednego trójkąta, następnie 5 o. w p. i 1 ścisłe oczko do otworu na rogu drugiego trójkąta i t. d., aż się połączy 2 boki 2 trójkątów. Tak powstanie 6 pasów po 18 trójkątów. Te pasy łączy się tym samym sposobem, ob. rys. 26 i 25.

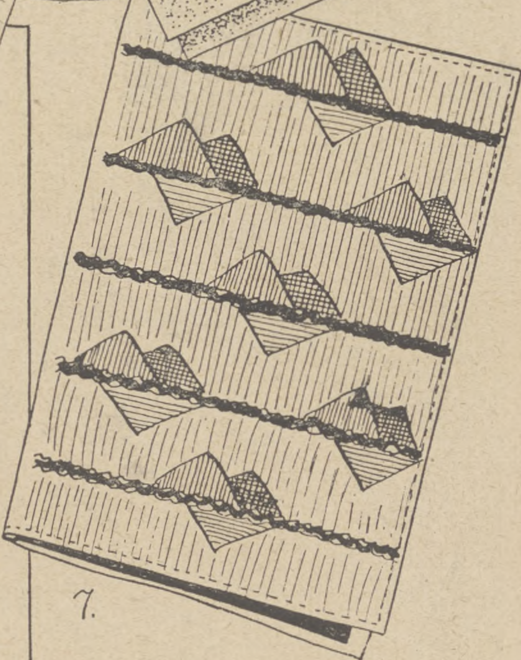
U dołu przyczepić do każdego otworu z 3 o. w p. po 3 nitki wpół złożone koloru 4 i po 1 nitce koloru 5 jako frendzle.

Tak samo można złożyć z trójkątów kwadratową albo trójkątną chustkę i otoczyć ją frendzlami.

Z. KULCZYCKA







OKŁADKI OCHRONNE NA KSIĄŻKI

Miłe i wygodne okładki służą do ochrony książek pięknie oprawionych albo do zakrycia brzydkiej oprawy książek bibljotecznych. Przyszyte paseczki umożliwiają noszenie książek na wzór torebki, co jest szczególnie wygodne podczas wywczasów letnich, kiedy spędza się czas na wolnem powietrzu.

Jako materjał służą różne tkaniny gładkie albo wzorzyste lub też ozdobione haftem. Gładką materję podszywa się zazwyczaj wzorzystą podszewką, a przeciwnie wzorzystą daje się na gładkie podszycie. Rysunek 1 przedstawia rozłożoną stronę wewnętrzną okładki. Przy skrojeniu należy dodać na 2 boczne pochwy. Materję niezbyt sztywną dobrze jest dać na organtynę albo na płótno krawieckie. Okładkę podszywa się przed założeniem pochw, które przyszywa się krytym ściegiem u góry i u dołu. U góry w środku można włożyć między materję a podszewkę pasek materji zakończony monogramem, albo motywem haftu.

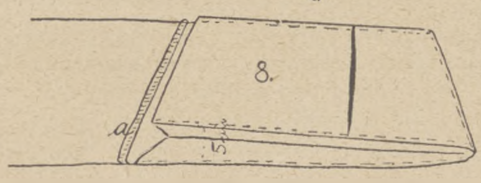
Bibljoteki mają zazwyczaj jednolity format książek. Do najwięcej używanego można dostosować wielkość okładki, która powinna być raczej za luźna aniżeli za ciasna. Przy taniości materjału można sobie uszyć kilka okładek różnej wielkości.

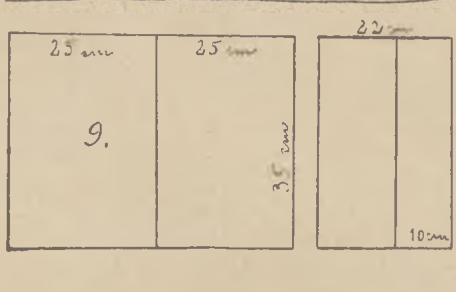
Jako materjał służy każda resztka gobelinu albo lamy — rys. 6, skóry, albo sukna — rys. 5, płótna — rys. 3 i 4, a nawet kretonu.

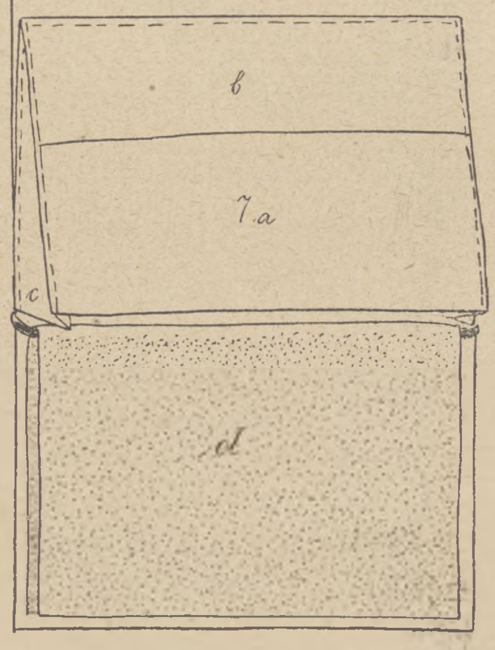
Wzorzystych materjałów nie zdobi się, oczywiście, natomiast gładkie urozmaica się aplikacją — rys. 5, haftem — rys. 4, albo nałożoną bortą czy wstążką.

TECZKA

W podróży przyda się teczka na listy z niedrogiego materjału, często takiego jak okładki na książki. Teczka (rys. 7) jest zrobiona z sza-





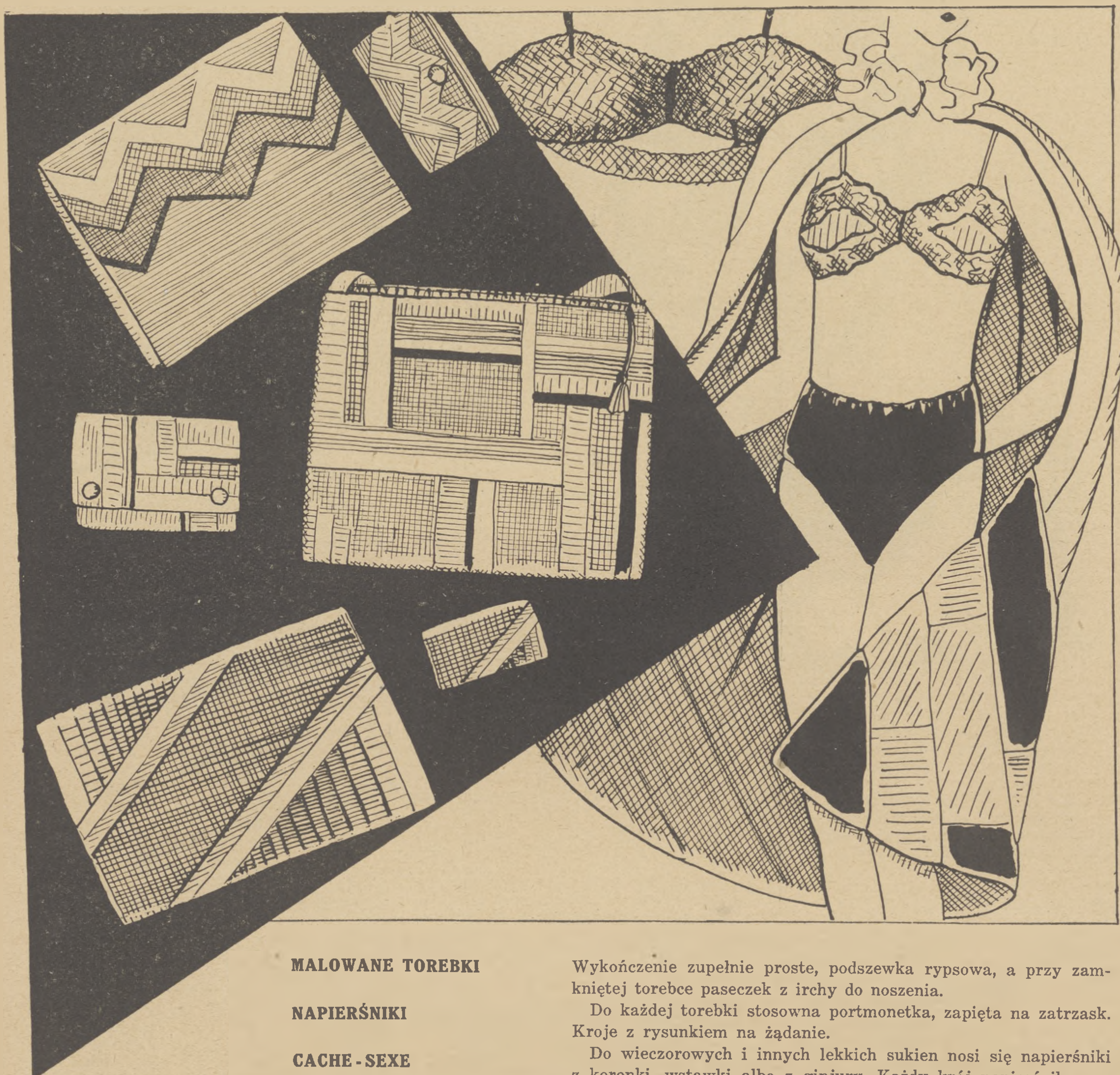


rego płótna ozdobionego aplikacją w 3 kolorach i łatwym ściegiem ozdobnym. Łatwy krój wierzchu uwidocznia rys. 9, obok krój bocznej pochwy, na którą nakłada się drugą węższą.

Wierzch teczki należy dać na sztywne płótno, albo gruby elastyczny papier, na to podszycie z rypsu lub kretonu. Brzegi wierzchu powinny wystawać o 1 cm. Do lewej połowy teczki należy przyfastrygować do brzegu, u góry i u dołu, boki, rys. 7 c, długości 22 cm a szer. 5 cm. Do nich przyszywa się pochwę, rys. 7 a i b oraz rys. 8, a zewnętrzny jej brzeg do wierzchu. Teraz zakłada się wystające brzegi wierzchu, kryjąc i przytrzymując niemi brzegi podszycia i pochwy i przystebnowuje, jak to widoczne na rysunkach. Na środku, u góry i u dołu wkłada się przytem gumkę, rys. 8 a, służącą do przytrzymania kilku arkuszy złożonej bibuły, rys. 7 d.

Dostarczamy krojów i wzorów na okładki rys. 4 i 5, oraz na teczkę.

Z. KULCZYCKA



MALOWANE TOREBKI

NAPIERŚNIKI

CACHE - SEXE

Kolorowe kredki do malowania materjałów są tak proste w użyciu, że każdy może niemi ozdobić torebki, teczki i t. p., a nawet suknie, tem bardziej, że najmodniejszy rysunek na ten cel składa się z samych prostych kresek rozmaicie ułożonych.

Na podane tu torebki służyła irchowa skórka w kolorze kamiennym, beige i gołąbkowym. Zamiast irchy można użyć dywetyny. Na tle kamiennem rysunek terrakotta w 3 odcieniach, podkreślony czarnym. Torebka beige rysowana kolorami: zielonym jasnym, ciemnym i koralowym. Gołąbkowe tło trzeciej torebki malowane cytrynowym stopniowanym od najjaśniejszego do najciemniejszego; 2 kreski czarne.

Torebki mogą być portfelowe, albo zamknięte na t. zw. zipp. Wykończenie zupełnie proste, podszewka rypsowa, a przy zamkniętej torebce paseczek z irchy do noszenia.

Do każdej torebki stosowna portmonetka, zapięta na zatrzask. Kroje z rysunkiem na żądanie.

Do wieczorowych i innych lekkich sukien nosi się napierśniki z koronki, wstawki albo z gipjury. Każdy krój napierśnika nadaje się do tych materjałów, które można podkładać tiulem. Sporządza się je w wszystkich kolorach, stosownie do bielizny albo do sukni. Do wszystkiego stosowne: ivoire, écru, różowe, czarne. Krój na żądanie.

Pod jedwabne kombinacje wkłada się króciutkie majteczki z trykotu jedwabnego albo bawełnianego, zwane cache-sexe albo figi. Można je własnoręcznie uszyć z noszonych reform lub innych części trykotowej bielizny. Krój na żądanie.

Na rano albo wieczór do przebierania wkłada się wygodny cape lekko watowany, z jedwabiu lub innego materjału. U szyi ściągnięty i zakończony riuszą albo futerkiem. Gładki materjał zdobi się mozajką z innych kolorów, zaś wzorzysty gładkiemi materjałami. Krój nieskomplikowany, dostarczamy go na żądanie.

Z. KULCZYCKA

MARJA ANKIEWICZOWA

UDOGODNIENIA TECHNICZNE W KUCHNI NOWOCZESNEJ

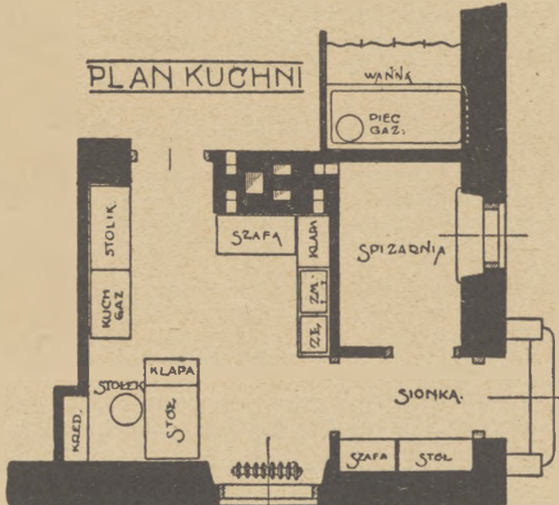


Hasła głoszone dziś powszechnie: „Minimum miejsca, czasu i wysiłku przy wykonywaniu jakiejkolwiek bądź pracy“ dążą do realizacji swych postulatów różnorodnemi drogami.

Kuchnia wzorowa obecnie musi być nietylko dostatecznie mała, aby w ten sposób zabezpieczać nas od niepotrzebnej krętaniny, musi być przytem umeblowana w taki sposób, aby sąsiadujące z sobą sprzęty wprost matematycznie się uzupełniały.

Przedewszystkiem bardzo ważnemi są punkty rozmieszczenia okna, drzwi oraz samej kuchni bez względu na to czy będzie to zwykły piec kaflowy, czy gazowy lub elektryczny. Dlatego też tak doniosłe znaczenie dla dalszego racjonalnego rozwoju zagadnień gospodarczych ma współudział kobiet w budownictwie. Kobiety architektki, kobiety budowniczowie oto niewyzyskane a zarazem nieocenione tereny pracy dla kobiecej myśli twórczej. Błędom w projektowaniu kuchen popełnianym przez mężczyzn, a także ich odruchowemu lekceważeniu problemu kuchni, nawet dziwić się nie można, ponieważ mężczyzna nie posiada skrystalizowanego wyobrażenia o potrzebach praktycznych, jakie nastręcza nam kuchnia w codziennem jej użytkowaniu.

Zasadniczo biorąc, płyta kuchenna, na której gotujemy, powinna być uplasowana tak, aby stanowiła centrum naszych poczynań. Naprzeciwko niej najpraktyczniej umieścić jest zlew oraz zmywalnię z dopływem ciepłej i zimnej wody. Wtedy jeden obrót wystarczy nam, aby umyć sobie w każdej chwili ręce lub potrzebne naczynie, czy też odlać wrzątek lub opłókać jarzyny.



Z prawej strony kuchni powinniśmy mieć ustawiony podręczny stolik niewielki do odstawiania potraw już gotowych lub wykonywania drobnych czynności towarzyszących zazwyczaj wykończaniu obiadu. Przy zmywalni dobrze jest umieścić ruchomą klapę w murze, której używamy podczas zmywania naczyń po obiedzie. Obok zaś znajdująca się szafa pomieści w sobie czyste naczynia oraz nakrycia codzienne.

Mając tak rozplanowaną kuchnię śmiało możemy zmywać w pozycji siedzącej na okrągłym o ile możności obrotowym taborecie. Po lewej stronie kuchni stwarzamy sobie przygotowawczy warsztat pracy, który umożliwi nam wykonywanie jak najłatwiejsze wszystkich czynności przygotowawczych poprzedzających zasadnicze gotowanie.

Tu mamy kredens, którego część przeznaczamy na podręczną śpiżarnię, posiadającą pewne zapasy mąki, wszelkich kasz, grochu, cukru, soli, towarów kolonjalnych, jaj, nawet masła, które przed rozpoczęciem czynności zabieramy ze sobą z lodowni stojącej w kuchni pod ścianą północną, aby jak najmniej narażona była na nagrzewania zewnętrzne.

Przed kredensem ustawiamy stół niezbyt wielki, wyposażony jednak w klapę opuszczaną, zapomocą której możemy zawsze powierzchnię jego rozszerzyć.

Między kredensem a stołem umieszczamy taboret, pod stołem stawiamy kubeł na odpadki. W kredensie mamy wsuwaną stolnicę, na której przygotowane nawet wcześniej ciasto może leżeć bez obawy przeschnięcia lub zakurzenia.

Będąc tak przygotowaną na wszelkie ewentualności, osoba zatrudniona może niezmiernie szybko i łatwo wykonać wszelkie czynności przygotowawcze, poprzedzające zasadnicze gotowanie.

Taka manipulacja wpływa niezmiernie dodatnio na zaoszczędzenie opału. Gdyż wszelkie jarzyny oczyszczone, kasze, ciasto na makaron lub kluski, oraz mięso obmyte pokrajane czy zmielone, przygotowane zawczasu, równocześnie postawione będzie na ogniu, który znów rozpalamy po ukończeniu poprzednich czynności.

Jednocześnie zaś system ten niepostrzeżenie zniewala nas do stosowania zasad naukowej organizacji pracy w gospodarstwie, gdyż mimowolnie rozbija na trzy zasadnicze i rozgraniczające się grupy nasze czynności na terenie kuchni.

A więc rozdzielamy nasze prace na: 1) czynności przygotowawcze poprzedzające gotowanie, 2) gotowanie istotne, oraz 3) zmywanie i porządkowanie po skończonem gotowaniu.

Załączony plan kuchni racjonalnej da Czytelniczkom możność doskonałego zorjentowania się w racjonalnem rozgrupowaniu sprzętów kuchennych i będzie mógł posłużyć do niejednej inowacji dokonanej na terenie własnego gospodarstwa.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

STARE KUROPATWY sprawić, obwiązać płatkami słoniny, zrumienić. Tymczasem sparzyć kiel, nalać wody do przykrycia, dodać kawałek słoniny, szczyptę kminku i zagotować przez kilka

minut. Potem włożyć zrumienione kuropatwy wraz z sosem i dusić razem, aż zmiękną. Następnie wyjąć wszystko, podzielić kuropatwy i przybrać pokrajaną słoniną, która gotowała się w kielu, obłożyć kielem. Zagotować sos i zgęścić śmietaną, polać nim kuropatwy i kiel.

SZMARU Z SAGO. Zagotować ⅛ kg sago z ½ l mleka, cukrem i szczyptą soli. Wystudzić, następnie ubić 2 jaja i 2 żółtka i wymieszać z sago. Stopić tłuszcz w brytwannie, włożyć sago, rumienić i przytem rozdzierać widelcem, posypać na wydaniu miałkim cukrem z wanilją i podać z sokiem owocowym albo z kompotem.

CEBULA należy do przypraw, które nietylko nie szkodzą, ale przeciwnie uchodzą za środek dezynfekujący przewód pokarmowy i czyszczący krew. Znane jest, że syrup z cebuli leczy chrypkę i uporczywy kaszel.

KANAPKI Z CEBULĄ. Pokrajać kilka dużych cebul w grube plasterki i włożyć na kilka godzin do posolonego soku z pomidorów. Plasterki bułeczki jasno zrumienione obłożyć plasterkami cebuli z soku pomidorowego, dosolić, popieprzyć, posmarować cieniutko musztardą, na to posypać dużo tartego parmezanu i zapiec w gorącej rurze. Podać gorące.

Drugi sposób: Zrumienić na maśle kilka mniejszych w kostkę pokrajanych cebul. Rozkłócić 3—4 jaja, posolić, popieprzyć i wlać do cebul, zamieszać. Gdy masa stężeje, nałożyć ją na chleb lekko zrumieniony i posmarowany w gorącym stanie masłem.

SAŁATA Z CEBULI I FASOLKI. Ugotować białą fasolkę na miękko i wystudzić. Tymczasem pokrajać kilka cebul w plasterki, włożyć do zimnej wody, posolić. Po 20 minutach odcedzić wodę, wycisnąć cebulę i dodać do fasolki. Dwa żółtka ugotowane na twardo utrzeć, wymieszać z sałatą, dodać cukru na koniec noża, odrobinę papryki, soli, 3 łyżki oliwy i octu winnego do smaku. Przybrać zieloną sałatą albo plasterkami pomidorów.

BORAKSEM zmiękcza się wodę do prania lepiej jak sodą, która nadweręża ręce i kolory.

JARZYNY nie tracą przy gotowaniu koloru, jeśli doda się do wrzącej wody przed włożeniem jarzyn łyżeczkę boraksu.

SZKLANE I SREBRNE PRZEDMIOTY odzyskują połysk, jeśli się je myje w wodzie z boraksem.

MARCHEW Z KLUSECZKAMI Z WĄTROBY. Jak wiadomo, marchew zawiera wszystkie witaminy, a wątroba wszelkie składniki do tworzenia się krwi. Zestawienie to więc nadaje się szczególnie dla osób niedokrewnych i dla dzieci. — Pokrajać oczyszczoną marchew w plasterki i nastawić z małą ilością gorącej wody, 1 cebulą, kawałkiem masła, solą i dusić do miękkości. Wyjąć cebulę, wsypać szczyptę pieprzu, odrobinę cukru, popudrować mąką i zagotować. Nakoniec podlać rosołem albo wywarem z włoszczyzny. Zemleć 20 dkg surowej wątroby wołowej, dodać łyżkę posiekanej zielonej pietruszki i utarty ząbek czosnku. Z 2 bułeczek obkroić skórkę, namoczyć je w mleku, wycisnąć, włożyć do wątroby, dodać 2 jaja, łyżeczkę masła, soli, pieprzu i tyle tartej bułeczki, żeby można z dokładnie wymieszanej masy kłaść kluseczki do sosu marchwi, w którym należy je powoli zagotować.

OSAD W CZAJNIKACH I GARNKACH rozpuszcza się, jeśli gotować w nich wodę z boraksem.

STARE GĄBKI można jeszcze zużyć do mycia okien. Oczyszczone gąbki pokrajać, włożyć do przezroczystego woreczka i zmywać szyby. Suchą gąbką można czyścić obuwie z błota.

GĄBKA ZROBIONA Z RESZTEK JEDWABI poleruje doskonale meble.

PRZEDMIOTÓW LAKOWYCH nie wolno myć gorącą wodą. Należy je wycierać płóciennym płatkiem zwilżonym w wodzie z olejem drzewnym.

ZŁOCONE RAMY czyści się doskonale serwatką. Zwilżyć nią miękką gąbkę i zmyć nią ramy.

W BLISKOŚCI PIANINA ustawione meble wyścielane wchłaniają fale głosowe, przez co ton zdaje się słabszy.

TOWAROZNAWSTWO

P r a w d z i w y w ł o s i e ń koński znajduje zastosowanie do wypełnienia m a t e r a c ó w, p o d u s z e k, do w y ś c i e l a n i a m e b l i i t. p. Trwałość jego jest prawie nieograniczona. Włosień jest elastyczny, po zgnieceniu wraca do dawnej sprężystości, nie łamie się i daje się łatwo czyścić i dezynfekować. Na materace i meble używa się go we wszystkich barwach; na poduszki oraz na poduszeczki i kołderki dla niemowląt najchętniej stosuje się biały włosień. Jest on oczywiście drogi, ale może przetrwać generacje, dlatego warto odważyć się na jednorazowy większy wydatek.

Surogaty włosienia nie dorównywują mu w trwałości ani w sprężystości. Najczęściej stosuje się trawę morską, wyrzuconą przez fale na brzeg, albo jej namiastkę: trawę alpejską lub leśną. Po dłuższem użyciu jednak trawy te ulegają starciu.

Daleko trwalsze jest włókno India albo crin d'Afrique, t. j. włókno liści palmowych.

Kapok, włókno drzewa wełnianego, służy do wypełniania ozdobnych poduszek i do wyścielania, a niekiedy na cienkie materace. Z początku jest elastyczne, jednak z czasem zbija się i musi być przeskubane. Jeśli zbije się pod wpływem wilgoci, odzyska sprężystość pod wpływem gorąca.

Na materacyki dla niemowląt i chorych stosuje się higjeniczne włókno torfowe, które wchłania wilgoć i dezynfekuje. Po użyciu wyrzuca się je i napełnia wyprane powłóczki na nowo. Podobnie da się zastosować wełna leśna, produkt sporządzony ze szpilek sosnowych i wełny albo bawełny.

Zamiast materaców sprężynowych dawnego typu, ciężkich i niehigjenicznych, bo trudno dających się oczyścić, używa się obecnie ogólnie elastycznych wkładek drucianych. Na nich jednak przecierają się powłóczki materaców bardzo szybko. Dla ochrony kładzie się więc na wkład druciany grube płótno, a na to dopiero materace, które można prócz tego ochraniać przez pokrowce do prania.

Skrajni higjeniści zarzucają pierze na posłanie zupełnie i zastępują je włosieniem i wełną.

Kołdry wełniane są lekkie, ciepłe i bardzo trwałe. Przy kupnie trzeba się jednak upewnić, czy użyto czystej wełny bez domieszki waty bawełnianej, która jest cięższa, twardsza i łatwiej się zbija, poczem nigdy już nie odzyska pierwotnej elastyczności. Wełnianą watę poznać po tem, że przy bliższem badaniu widać kręcone włoski o słabym połysku. Przy spalaniu wydziela woń spalonych włosów i tli powoli tylko, przyczem kurczy się i tworzy zbity popiół. Bawełna zaś pali się jasno.

Jedwab albo półjedwab i jedwab sztuczny na pokrycie kołder jest oczywiście mniej trwały od satyny wełnianej i bawełnianej. Bawełniana prędzej się brucze, ale wypiera coraz bardziej wełnianą.

Zamiast kołder są bardzo higjeniczne miękkie koce wełniane do prania. Sporządza się je z prawdziwej wełny owczej, koziej albo wielbłądziej; tańsze koce i derki robi się z włosów krów, cieląt i osłów.

Oczywiście miesza się te włókna zwierzęce często z materjałami mniejszej wartości jak: bawełna, odpadki wyrobów sukienniczych i t. p. Koce lepszego gatunku są miękkie, elastyczne i nie mnące się, zaś liche są twarde i szorstkie i łatwo się mną.

Trzeba się wystrzegać koców o jaskrawych barwach, gdyż nie można ręczyć za to, że farby nie puszczą. Białe, kremowe, szare, beige i naturalne (niefarbowane) są najodpowiedniejsze, choć mniej zachwycają oko.

Pierze na posłanie powinno być czyste i lekkie. Niebezpiecznie jest kupować darte pierze, gdyż niema się gwarancji, czy nie pochodzi ono z używanych poduszek. Niektórzy niesumienni handlarze bowiem skupują używaną pościel i po powierzchownem zdezynfekowaniu, albo nawet bez tego, sprzedają pierze jako nowe. Najpewniej jest więc kupić niedarte pierze, albo kupować tylko w solidnej firmie.

Najwyżej cenione jest białe pierze, w pierwszym rzędzie puch erdredonek, potem łabędzie pierze, ale jedno i drugie jest bardzo drogie. Najwięcej używa się pierza z gęsi, z których skubane letnie jest cenniejsze od zimowego. Szypułki z dartego pierza służą na poduszki klinowe, albo na poduszki dla osób, które nie lubią ciepłego pierza. Pierze z kaczek jest prawie tak trwałe jak z gęsi, natomiast kurzych piór nie powinno się używać na posłanie, bo wydziela niemiłą woń, a robactwo lęgnie się w niem łatwiej, jak w gęsim.

Sam puch zbija się łatwiej, jak zmieszany z dartem pierzem, to też na poduszki miesza się puch z pierzem, zaś na kołdry, na których się nie leży, bierze się puch niemieszany. Co pewien czas należy poduszki suszyć i wietrzyć, ale niekoniecznie w promieniach słonecznych, gdyż zanadto przypieczone pierze kruszy się łatwiej i wydziela swoisty tłuszcz. Gdy pierze w poduszkach zaczyna się zbijać, nadszedł czas, kiedy trzeba je dać czyścić, a ubytek zastąpić świeżem pierzem.

Do wyścielania mebli używa się, jak wspomnieliśmy wyżej, włosienia końskiego. Dla oszczędności daje tapicer czasem pakuły albo nawet tylko trawę morską albo siano. Pakuły zbijają się zczasem, a siano kruszy się, co oczywiście odbija się ujemnie na wyglądzie mebli. Doświadczeni kupujący odróżnią dotykiem włosień od pakułów, które nie są tak elastyczne, albo od siana, które szeleści. W razie wątpliwości można zażądać odprucia pokrycia w dowolnem miejscu, ale solidny kupiec powie i bez tego, jakiego użył materjału.

Najnowszy wynalazek, to meble wyścielane, wypełnione powietrzem. Jest to ideał higjeny, ale wymaga zupełnego przewrotu. Zdaje się więc, że nie tak szybko będziemy zmuszeni badać przy kupowaniu materjał wyścielanych mebli co do nieprzepuszczalności i szczelności!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. HELENA SZ. — Popołudniowe herbatki o piątej przeciągają się do siódmej, nie dłużej. Nie znaczy to jednak, że trzeba pozostać całe dwie godziny; w ciągu tych dwóch godzin goście się zmieniają, jedni przychodzą, drudzy wychodzą. Nie obowiązuje też wobec tego punktualne przyjście o piątej, ale najpóźniej zjawić się można o pół do siódmej, gdyż krócej jak pół godziny być nie wypada.

CZ. W. — Jeśli Pani szuka czegoś oryginalnego w tym zakresie, możemy objaśnić, że nowością jest w Paryżu puderniczka-zegarek. Po otworzeniu zegarka widnieje delikatne siteczko, które za przyciśnięciem sprężynki dostarcza ilości pudru wystarczającej na jeden raz. W ten sposób puder nie traci świeżości zapachu i nie rozsypuje się niepotrzebnie.

P. WOŁOSZYNOWICZOWA. — Wymogom Pani odpowie w zupełności żurnal sezonowy „Smart", który zawiera zbiór szykownych modeli na codzień, płaszczy, kostjumów, sukien popołudniowych, wieczorowych, balowych, kostjumów maskowych, bielizny, garderoby dziecięcej. Wszystko poparte dokładnemi opisami modeli i artykułem o modzie jesienno-zimowej. Będzie to doskonały nabytek dla Pani wobec zamiaru sprowadzenia na wieś krawczyni, która ma na całą zimę zaopatrzyć w garderobę Panią i Jej Córkę. Nabyć można w Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów — Warszawa, Wilcza 3.

KRÓLEWIANKA. — Pojmujemy, że w tak młodym wieku trudno nieraz podołać reprezentacyjnym obowiązkom pani domu przy zestawianiu menu i doborze odpowiednich win, zwłaszcza gdy chodzi o przyjęcia oficjalne. Za zasadę niech Pani przyjmie:

do ryb — wino białe z gatunku t. zw. suchych (sec) jak np. Chablis, Camp romain, Hermitage i t. p.;

do przystawek, pasztetów, zimnych mięs — wino czerwone, np. St. Julien, St. Estephe, Chateâu Pontet Canet;

przy dalszych mięsnych daniach ciepłych — wino z gatunku t. zw. pełnych, jak Latour Pommerol, Chambertin, Châteauneuf du Pape i t. p.;

dania słodkie, leguminy, deser — wymagają win deserowych jak np. Bannyls, Muscat de Frontignan, Frontignan sec, Malaga; także wina szampańskie;

w przerwach pomiędzy poszczególnemi daniami nadają się wielkie wina Sauternes, jak Ch. La Montagne, Ch. de Malle, Ch. d'Yquem i inne.

Dodać należy, że gdy pierwsze uczucie głodu już zaspokojone, a zmysł smaku subtelniej reaguje na gatunki win, można podawać wina wyborowe, jak Ch. Lafite Rotschild, Ch. Margaux, Ch. Mouton i t. p.

Informacje o winach nie byłyby wystarczające, gdyby ich nie uzupełnić niezbędnemi objaśnieniami o temperaturze win, która stanowi o jego smaku i aromacie. Wina czerwone zarówno Burgundy jak i Bordeaux wymagają temperatury pokojowej. Aby ją osiągnąć, wystarczy trzymać wino w pokoju przez 24 godziny. Gwałtowne ogrzewanie zabija aromat wina. Jeżeli brak czasu nie pozwala na wskazane ogrzanie wina, można tuż przed podaniem do stołu ogrzać próżne flaszki gorącą wodą i do nich wlać wino delikatnie. Wina białe Bordeaux i Moselskie należy podawać bardzo zimne, a nawet zlekka zamrożone, przyczem pamiętać trzeba, że mrozić w samym lodzie nie wolno, lecz w wodzie z lodem. Wina burgundzkie, węgierskie, włoskie i austrjackie wymagają temperatury piwnicznej, wina deserowe mogą być w temperaturze pokojowej. Wszystkie wina wyborowe należy podawać w dużych kieliszkach, o szerokiej powierzchni, by aromat mógł wystąpić jak najlepiej.

NOWOPRZYBYŁA DO LWOWA. — Owszem, zawsze poinformujemy Panią bardzo chętnie o źródłach zakupu we Lwowie. Byłoby korzystniej dla Pani przyjść do redakcji; godziny przyjęć codzień od 12—1 w południe. — Najmodniejszą galanterję i wyroby ze skóry, po cenach wyjątkowo niskich, otrzyma Pani w firmie Sfinks, ul. Legjonów l. 5. Wybór duży, przedmioty pełne smaku, a co najważniejsze dystyngowane manjery obu Współwłaścicieli firmy, ich dyskretny zmysł doradczy, zachęcają do zostania stałą klientką.

KUJAWIANKA. — 1. Haft krzyżykowy jest nadal modny. — 2. Informacje o zimnych okładach są mylne. Wysmuklenie nogi w kostce, o ile chodzi o jej części miękkie a nie o grubą kość, uzyskać można pewnym zabiegiem ortopedycznym, wykonanym przez lekarza.

P. ZOFJA NOWOSIELECKA ze Lwowa. — Polecamy Pani nauczycielkę rodowitą Francuzkę, siłę rutynowaną, obdarzoną wyjątkowemi zdolnościami pedagogicznemi i pięknym akcentem. Adres: Klonowicza 8, parter na lewo.

P. MARJA CHĄDZYŃSKA. — Warunkom podanym przez Panią odpowie najlepiej Pierwsza Chrześcijańska Spółdzielnia Młodzieży, Lwów, pl. Halicki 10, Pałac Biesiadeckich. Do wyprawy córki wybrać będzie można z rzeczy gotowych piękną bieliznę, trykotaże, dodatki do krawieczyzny, koronki, hafty, wszelkiego rodzaju roboty ręczne, poduszki, serwetki i t. p. Można również zamawiać podług osobistych życzeń. Ceny są niewiarygodnie niskie, np. apaszka ręcznie batikowana na jedwabiu zł. 11,—. Z kupna będzie Pani zadowolona, a przytem spełni dobry uczynek popierając szlachetny cel i dopomagając młodzieży pracującej na życie.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

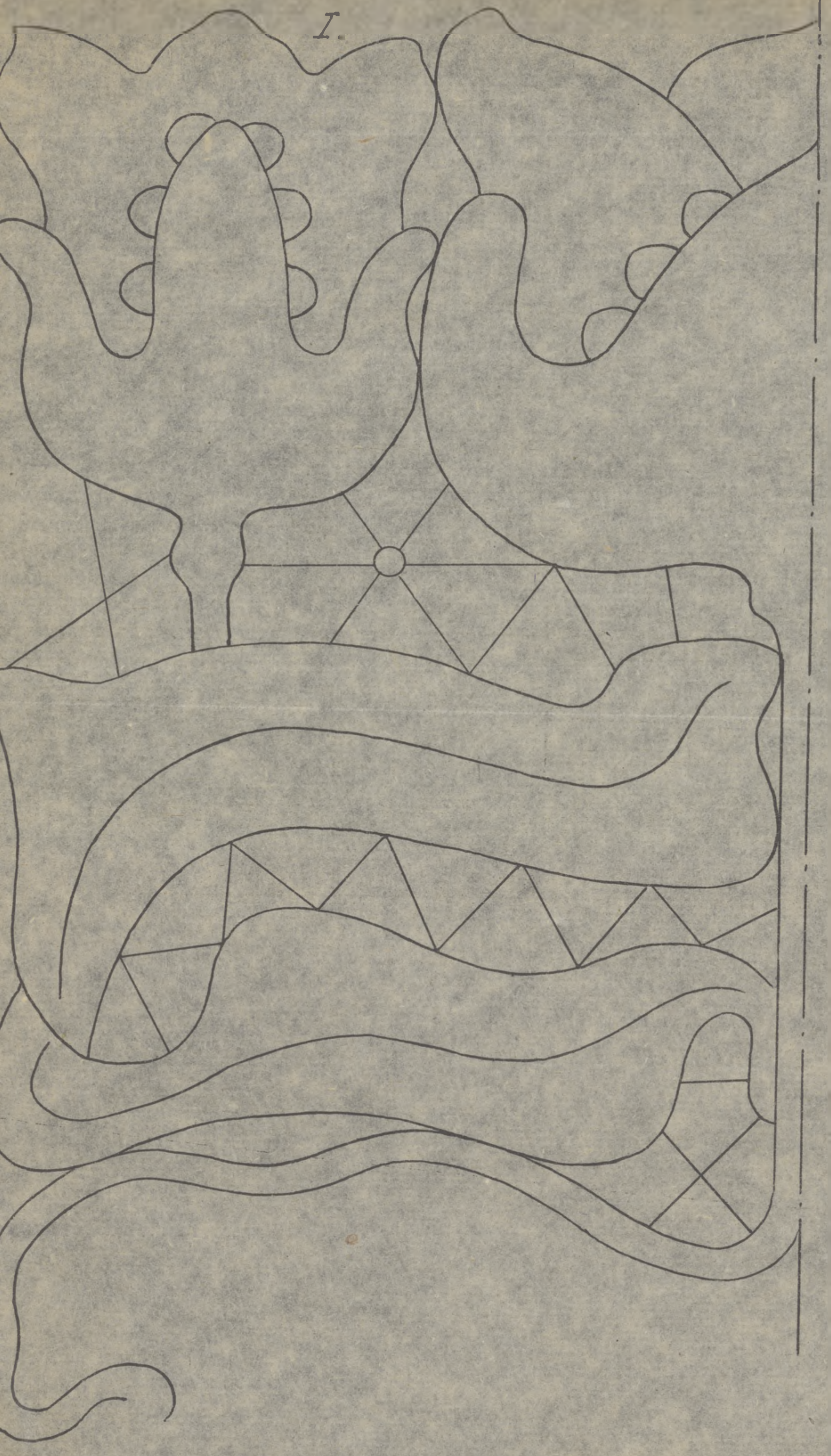
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wlicza 3

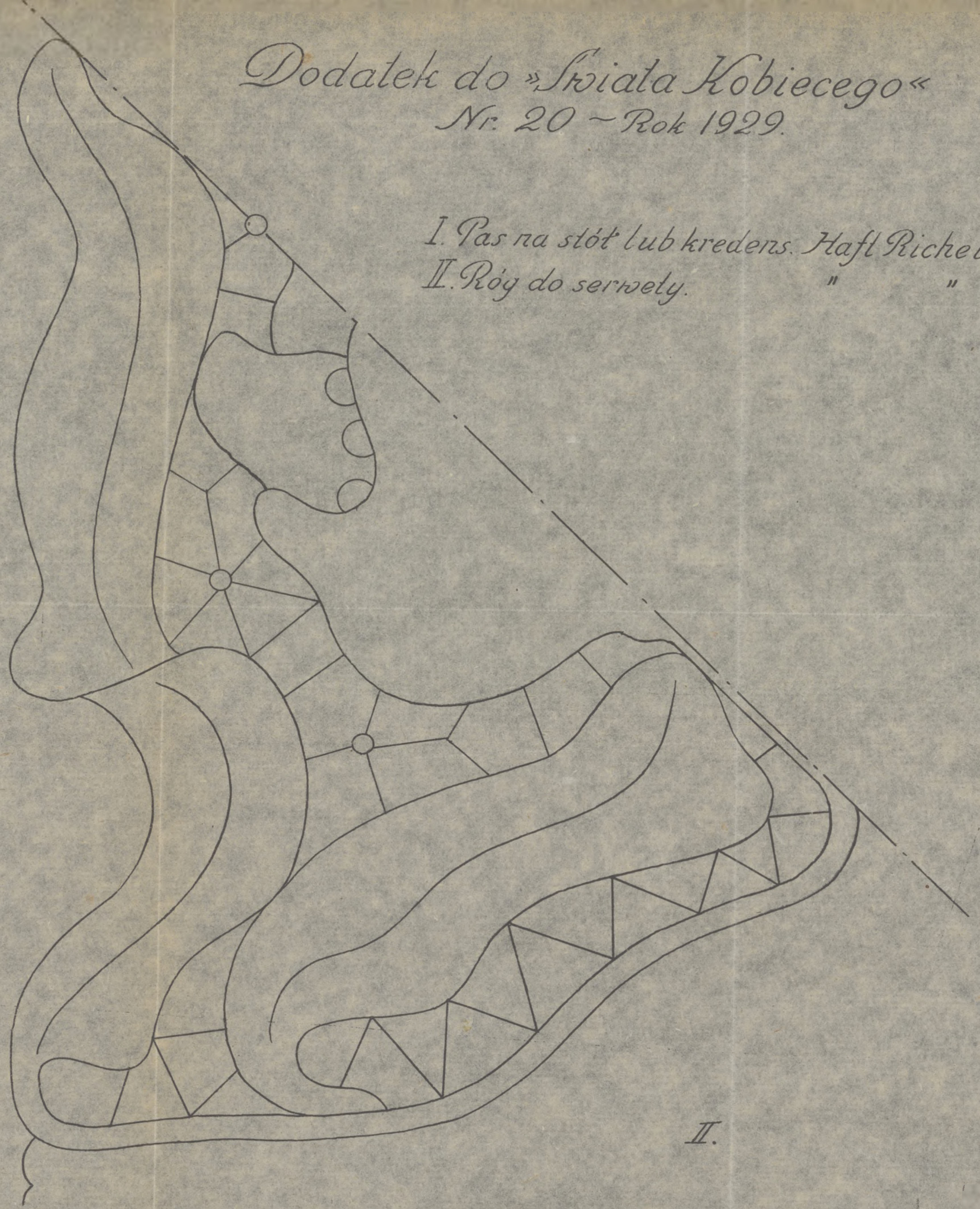
Telefon administracji: 4-32 Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34

Dodatek do »Świata Kobiecego«
Nr. 20 – Rok 1929.

I. Pas na stół lub kredens. Haft Richelieu
II. Róg do serwety. " "

I.





II.

Dodatek do »Świata Kobiecego«
Nr 20 - Rok 1929

I Pas na stół lub kredens Haft Richelieu
II Róg do serwety "

